

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



BOLESŁAW LEŚMIAN

WIERSZE WYBRANE

ZE ZBIORU *SAD ROZSTAJNY* [1912]

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

ZMORY WIOSENNE

Biegnie dziewczyna lasem. Zieleni się jej czas...

Oto jej włos rozwiany, a oto - szum i las!

Od mrowisk słońce dymi we złotych kurzach - mgłach.

A piersi jej rozpiera majowy, cudny strach!

Śnił się jej dzisiaj w nocy wilkołak w głębi kniej,

I dwaj rycerze zbrojni i aniołowie trzej !

Śnił się jej śpiew i pląsy i wszelki ptak i zwierz!

I miecz i krew i ogień! Sen zbiegła wzdłuż i wszerz!...

A teraz biegnie w jawę, przez las na lasu skraj -

A za nią - Maj drapieżny! Spójrz tylko - tygrys-maj !...

Dziewczyna płonie gniewem... zaciska białą pięść...

A wkoło pachną kwiaty... Szczęść, Boże, kwiatom szczęść!

A wkoło pachną kwiaty, słońcem się dławi zdrój !

Purpura - zieleń - złoto ! Rozkwitów szal i bój !

Grzmi wiosna! Tętnią żary! Krwawią się gardła róż!

O, szczęście, szczęście, szczęście! Dziś albo nigdy już!...

Dziewczyno, hej, dziewczyno! Zieleni się nam czas!...

Kochałem nieraz - ongi - i dzisiaj jeszcze raz...

Dziewczyno, byłem z tobą w snu jarach, w głębi kniej -
Jam - dwaj rycerze zbrojni i aniołowie trzej !...

Jam - śpiew i płas zawrotny! Jam wszelki ptak i zwierz!
Ja - miecz i krew i ogień! Sen zbiegłem wzdłuż i wszerz...

Sen zbiegłem, goniąc ciebie, twój wierny tygrys-maj!...
Ja jestem las ten cały - las cały aż po skraj !

O ZMIERZCHU

Słońce zgasło. O, jakże zwinne są i młode
Zmierzchy czerwca, nim w północ głuchą się przesilą!
Po wargach twoich dłonią, kształt czującą, wiodę,
Jak po koralach, morzu wydartych przed chwilą...

Spleć stopy, przymknij oczy - i nazwij to cudem,
Żeśmy razem, dalecy od dziennego znoju!
Jakże łatwo zwać szczęście, z takim oto trudem
Rozniecone w ciemnościach twojego pokoju!

Łatwiej, niż rozpleść złotą warkocza zawilość,
Niepojętą dla zmierzchów, co zgadnąć nie mogą,
Czemu te słowa: cisza i wieczór i miłość -
Napełniają mi serce zabobonną trwogą?...

Czemu ciebie. poległa snem na mej rozpaczce,
Pieszczę tak. jakby w szczęścia przepychu dostatnim

Każdy mój pocałunek miał być już - ostatnim...
Słońce zgasło... O, błagam, nie całuj inaczej !...

GŁUCHONIEMA

We wsi naszej jest jedna głuchoniema dziewczka.
Pragniesz głos jej posłyszeć, gdy patrzy w lazury,
Bo w jej oku się tai gadatliwa śpiewka.
Przyszła do nas z wsi obcej, nie wiadomo której.

Nikt nie zna jej nazwiska ni snu. co ją stworzył -
Chyba śmierć ją zawoła kiedyś po imieniu...
Ja - chciałem być jej śmiercią, aby w jej milczeniu
Znaleźć strunę, na której Bóg dłonie położył.

Myślałem, że gdy w złotym wieczności obłędzie
Garścią ziemi uderzę w niemą pierś dziewczyny,
Pierś ta dumką łabędzią zahuczy w doliny
I zbudzi na jeziorach uspione łabędzie!...

We wsi naszej jest jedna rzeka bardzo blada,
Dziad jakiś nurzał sieci w falistej głębinie -
Pytam go, co za rzeka? - a on odpowiada:
"Trudno dać imię temu, co w dalekość płynie..."

Mówią jedni, że Tykicz, drudzy. że Mohiła,
Inni mówią: Daleka, a zaś inni: Bliska -

Ja stary wiem, że nie ma ta woda nazwiska...
Co rzece po imieniu; gdy w snach dno zgubiła!..."

We wsi naszej nieziemskie bywają wieczory,
Gdy zorza świat przemienia w sen o snach nietrwały,
Wtedy w duszy się rodzą fioletowe zmyry
I wspomnienia o rzeczach, które nie istniały.

W taki wieczór widziałem, jak ta głuchoniema
Z duszą do umarłego podobną słowika,
Ta śpiewaczka bezgłośna, lira bez lirnika,
Szła ku rzece, witając ją dłońmi obiema.

Tam stanęła, jak człowiek, co nie słysząc, słucha -
I złotą sieć warkocza zanurzyła w głębi.
Rybaczka! - chciała może złowić sen gołębi,
Który własnym jej głosem na dnie rzeki grucha !

Albo może pragnęła ta łowczyni śmiała
Chwycić własne odbicie w sieć złocisto-płową,
Myśląc, że ono, ludzką obdarzone mową,
Opowie ludziom wszystko, o czym wciąż milczała !

Nagle strząsnęła sploty. Ognie zórz ją złocą,
Jak światłość wiekuista, przyćmiona i senna...
Obca sobie i światu, między dniem a nocą
Nad bezimienną rzeką stoi bezimienna...

* * *

Niegdyś powagą i grozą płomienni -
Stali się dzisiaj wspomnieniem i echem,
Wymysłem ptaków, obłoków uśmiechem,
Ci - niezastępnii i ci - niezamienni.
Dla gnuśnych bogów są stróżami ziemi.
Dla zakochanych - wzorem lub przysięgą,
Dla dzieci - dziećmi, lecz bardziej pięknymi,
A dla poetów - przyrównań potęgą!
Dla zmarłych - lilią, wykwitłą za wcześnie,
A dla rycerzy - ogniem i żelazem,
A dla uspionych - za ledwo snem we śnie,
A dla mnie - niczym i wszystkim zarazem!
Zaś dla rusalek, zrodzonych wód jaśnia,
Są zanedbaną w błękitach współbaśnia...

TOAST ŚWIĘTOKRADZKI

Żem nieraz wchodził z wami w złośliwość zażyłą,
Mistrze zgrzytów i chrzęstów, z których pieśń się czyni,
Więc mi dano się o was zadumać w świątyni,
Gdzie już nic się nie staje, prócz tego, co było...

Tu - wybucha z witrażów tak tęczy płomień,
Że ty - bogu, a tobie - bóg wyda się tęczą,
I obydwaj, zarówno pełni oszołomień,
Posłyszycie, jak wasze westchnienia współdzwięczą.

Lecz ja dłoń świętokradzką wyciągam w rozblaski
Aż po kielich, drzwi złotą dwutarczą strzeżony!...
Na dnie jego krwi Pańskiej koral zaczajony
Ustom, skorym do wina, nie poskapi łaski!

Więc gdy mi takie wino uderza do głowy
Mocą nieba całego aż do nieboskłonu -
Czyż nie jestem - o, bracia, nieufni do zgonu -
Opojem znad lazurów i sam - lazurowy?

Czyliż teraz mój okręt. szalony beztroską,
Dość się hardo na zdradnej nie załamie rafie?
I czyż - bóstwem pijany - do was nie potrafię,
Znawcy znawstwa samego, przemówić dość bosko?...

Za wszystkich, których słońca promienista różga
Chłoscze za żądź natręctwo i skrzydeł bezbożność,
Aż ich kiedyś - złocących swej kary wielmożność -
Grom, zawistny o złoto, w proch cenny rozdruzga !

Za skazanych na znoje czatów i wywiadów -
Gdziekolwiek się wałęsa ich płonna tęsknota!
Za tych, co mając żądła, poszukują jądów -
Gdziekolwiek ich przydybie ta żądeł zgryzota!...

I za tych, którym nagle, na wiosnę czy jesień,
By pogardzić kwiatami - nie dostało chwastu!...
I za tamtych, co z wszelkich uniesień lub wzniesień
Warci jeszcze takiego wzniesienia toastu!

Za tę całą drużynę zgiełkliwą i rojną,
Co otuchę donośnym wezwałaby rogiem -
Za ich żywot pokrętny i śmierć niespokojną
Wznoszę kielich. po brzegi pieniący się bogiem !...

BALLADA O DUMNYM RYCERZU

Śpi owo rycerz, śpi bezrozumnie
I raz na zawsze - w dębowej trumnie.

Leży wygodnie, bo się ułożył
Tak, aby nigdy snu nie zatrwożył...

Jego kochanka z różańcem w ręku
Zawodzi, pełna skargi i jęku:

„Przyszłam ci wyznać moje niemoce,
Że nie wiem, jak tam spędzasz swe noce?...

Bo odkąd w ciemnym nocujesz grobie -
Ani ty przy mnie - ni ja przy tobie!

Kochałam oczy i usta twoje,
Wczoraj kochałam, dzisiaj się boję!

Boję się szatą w mrok zaszeleścić,
Boję się w myśli ciebie popieścić!...

Trzy dni się w myśli twój czar promienił,
Dziś nie wiem, ile grób cię odmienił...

Ani mi z tobą łoża podzielić,
Ani urodą swoją weselić -

Darmo przymuszam uparte ciało,
By się twym oczom podobać chciało!

Przy tobie martwym - ja nieszczęśliwa
Wstydzę się jeno, żem jeszcze żywa!..."

Rozważył rycerz, że w słowach - zdrada,
I po dawnemu leżąc, powiada:

„Choć mi robaki oczy wyżarły -
Nie wstyd mi tego, żem już - umarły!...

Chociaż podziemiec jestem nikczemny -
Nie wstyd mi tego, żem już podziemny!...

Taką mam sytość i przepych w próżni,
Że mnie od króla Bóg nie odróżni!

Taka noc błysła nad życia zbiegiem,
Że mi świat cały - jednym noclegiem!

Ani mi słońca, ani mi nieba,
Ani miłości twojej potrzeba!

Ani mi zemsty w onej ustroni,
Gdzie krew nie szemrze i miecz nie dzwoni!

Nie znasz ty dumy. nie znasz pogardy
Tych, którzy w ziemi posnęli twardej...

W piersi ich - wielka ciszy potęga
I żaden zawód ich nie dosięga !

I nawet z resztek zsiniałej wargi
Nie wydobędziesz jęku ni skargi!

Oto w pobliżu mam ja sąsiada,
Co już od serca w proch się rozpada.

Ten ci jest śmiercią ode mnie starszy -
I śpi, na zmijach głowę oparłszy.

Lecz co przecierpiał i co zobaczył -
Nawet półszepcem wyrzec nie raczył!

Nie ulżył jękiem niemej żałobie,
Nie wyznał nigdy, co przeżył w grobie!...

A wszak ci w trupach taka moc bywa,
Że trup i w grobie wiele przeżywa !

Lecz Bogu chyba, w dzień zmartwychwstania,
W twarz rzuci wżgardę swego wyznania !”

I zamilkł rycerz - dumnie i godnie
I po dawnemu leżał wygodnie.

Jego kochanka z różańcem w ręku
Odeszła, pełna wstydu i lęku...

ZE ZBIORU *ŁĄKA* [1920]

TOPIELEC

W zwiewnych nurtach kostrzewy, na leśnej polanie,
Gdzie się las upodobnia łące niespodzianie,
Leżą zwłoki wędrowca, zbędne sobie zwłoki.
Przewędrował świat cały z obłoków w obłoki,
Aż nagle w niecierpliwej zapragnął żalobie
Zwiedzić duchem na przelaj zieleni samą w sobie.
Wówczas demon zieleni wszechleśnym powiewem
Ogarnął go, gdy w drodze przystanął pod drzewem,
I wabił nieustannych rozkwitów pośpiechem,
I nęcił ust zdyszanych tajemnym bezśmiechem,
I czarował zniszczotą wonnych niedowcieleń,
I kusił coraz głębiej - w tę zieleni, w tę zieleni!
A on biegł wybrzeżami coraz innych światów,
Odczłowieczając duszę i oddech wśród kwiatów,
Aż zabrnął w takich jagód rozzwonięte dzbany.
W taką zamroczone paproci, w takich cisz kurhany,
W taki bezświat zarośli, w taki bez brzask głuchy,
W takich szumów ostatnie kędyś zawieruchy,
Że leży oto martwy w stu wiosen bezdeni,
Cienisty, jak bór w borze - topielec zieleni.

GAD

Szła z mlekiem w piersi w zielony sad,
Aż ją w olszynie zaskoczył gad.

Skrętami dławił, ująwszy wpół,
Od stóp do głowy pieścił i truł.

Uczył ją wspólnym namdlewać snem,
Pierś głaskać w dłonie porwanym łbem,

I od rozkoszy, trwalszej nad zgon,
Syczeć i wić się i drgać, jak on.

Już me zwyczaje miłosne znasz,
Zwól, że przybiorę królewską twarz.

Skarby dam tobie z podmorskich den,
Zacznie się jawa - skończy się sen!

Nie zrzucaj łuski, nie zmieniaj lic!
Nic mi nie trzeba i nie brak nic.

Lubię, gdy żądłem równasz mi brwi
I z wargi nadmiar wysysasz krwi,

I gdy się wijesz wzdłuż moich nóg,
Łbem uderzając o łoża próg.

Piersi ci chylę, jak z mlekiem dzban!
Nie żądam skarbów, nie pragnę zmian.

Słodka mi śliny wężowej treść -
Bądź nadal gadem i truj i pieść!

RÓŻE

Ocknął się rycerz, snem zatrwożony,
Mówi po ciemku do swojej żony:
„Sen miałem, jakom zwykł,
Był tu, był tam - i znikł.

Widziałem we śnie róże i róże,
I twoją siostrę i noc w lazurze,
Tuż obok w sennych mgłach
Szedł ku niej na wprost gach.

Spłyńże mi cicho, jak krew po nożu,
Do jej alkowy, by tuż przy łożu,
Co dźwiga ciała znój,
Sen sprawdzić mój - nie mój !”

Zwlekła się pani z leż na kolana,
Z kolan powstała wyprostowana,
I poszła przed się w mrok,
Za krokiem glusząc krok.

Gdy do siostrzynej wnikła alkowy,
Szukała głowy obok jej głowy,
Obok lic - innych lic,
Lecz nie znalazła nic.

Ujrzała tylko róże i róże,
Wszystkie szkarłatne i bardzo duże,

Bo śpiąca, trwając wzdłuż,
Sen pasła jawą róż.

Upadła pani w mrok na kolana.
„Tak będę trudniej zowąd widziana !” -
Tamuje wonny dech,
Nocnych się bojąc ech.

Gdy północ wzmogła sny nieomyłne,
Słyszysz stąpanie bose i pilne -
Ściągnęła czujne brwi:
Ktoś wręcz otworzył drzwi.

Na klęczkach pani wzroku natężyła,
Na klęczkach widzi, że duch jej męża
Idzie, drzwi tłumiąc ruch -
Śpi ciało - czuwa duch!

Idzie ku śpiącej w ogień i burzę,
Pomiędzy róże, pomiędzy róże!
Od róż ją bierze w pół,
W uścisku zwarł i skuł.

„Śpijmy oboje - i duch i ciało,
Niech żadne nie wie, co się z nim działo!”
Przegina śpiącą wznak,
By docałować tak!

Nad ranem pani powraca blada.

„Czy śpisz, mój mężu?” - Nie odpowiada.

„Różami sen twój czuć!

O zbudź się, zbudź się, zbudź!”

Budzi się rycerz i w oczy pyta:

„Cóżeś widziała, w mroku ukryta?

Czy mówić nie masz sił?

Byłże gach w łożu?” - „Był.” -

„Czy szedł ku śpiącej w ogień i burzę,

Pomiędzy róże, pomiędzy róże?

Czy przegiał białą wznak?” -

„Tak - szepcze pani - tak.” -

„A czyli widział ciebie, jak w mroku

Z dłonią na piersi, ze zgrozą w oku

Kłęczałaś, zgięta w łuk?” -

„Widział i on i Bóg!” -

Porwał się rycerz ze swej łożnicy:

„Uchyl, śnie złoty, złotej przyłbicy!

Jam jest! Poznajesz mnie?”

„Nie inny byłeś w śnie !” -

„Spędzałem noce na sennej stawie,

Odtąd chcę żywą pieścić na jawie!” -

„Już - szepcze pani - już

Skonała wpośród róż!

We śnie zabiłam ciało bezszumne,
Złożyć kazałam w podwójną trumnę,
Dwie trumny - trzeci grób -
Trudny z nią będzie ślub !” -

A rycerz na to: „Zmarła za wcześnie!
Znowu ją muszę nawiedzać we śnie,
Do trumien wkroczę dwóch
Ja - pan, ja - sen, ja - duch!”

BALLADA DZIADOWSKA

Postukiwał dziadyga o ziem kulą drewnianą,
Miał ci nogę obciętą aż po samo kolano.

Szedł skądkolwiek gdziekolwiek - byle zażyć wywczasu,
Nad brzegami strumienia stanął tyłem do lasu.

Stał i patrzył tym białkiem, co w nim pełno czerwieni,
Oj da-dana, da-dana! - jak się strumień strumieni!

Wychynęła z głębin ruszczana dziewczycyca,
Obryzgała mu ślepie, aż przymarszczył pół lica.

Nie wiedziała, jak pieścić - nie wiedziała, jak nęcić?
Jakim śmiechem pośmieszyć, jakim smutkiem posmęcić?

Wytrzeszczyła nań oczy - szmaragdowe płoszydła -
I objęła za nogi - pokuśnica obrzydła.

Całowała uczenie, i łechtliwie i czule,
Oj da-dana, da-dana! - tę drewnianą, tę kulę!

Parskał śmiechem dziadyga w kark pokłękłej ułudy,
Aż przysiadł na trawie, jakby tańczył przysiudy.

Aż mu trzęsła się broda i dwie wargi u gęby,
Aż się kulą obijał o perłowe jej zęby!

„Czemuż jeno całujesz moją kłodę stroskaną?
Czemuż dziada pomijasz aż po samo kolano?

Za wysokie snadź progi dla czarciego nasienia,
Ty, wymoczku rusalny - ty, chorobu strumienia !

Pieszczotami to drewno chcesz pokusić do grzechu?
Oj da-dana, da-dana ! - umrę chyba ze śmiechu !” -

Spowiła go ramieniem, okręciła, jak frygą!
„Pójdźże ze mną, dziadoku - dziaduleńku -dziadygo !

Będę ciebie niańczyła na zapiecku z koralu,
Będę ciebie tuczyła kromką żwiru spod fali.

Będziesz w moim pałacu miał wywczasy niedzielne,
Będziesz pijał z mej wargi pocałunki śmiertelne!”

Pociągnęła za brodę i za torbę żebraczą
Do tych nurtów pochłonnych, co się w słońcu inaczą.

Nim się zdążył obejrzeć - już miał falę na grzbiecie -
Nim się zdołał przeżegnać - już nie było go w świecie!

Zakłębiły się nurty - wyrównała się woda,
Znikła torba dziadowska i łysina i broda !

Jeno kloc ten chodziwy - owa kula drewniana
Wypłynęła zwycięsko - oj da-dana, da-dana!

Wypłynęła - niczyja, nie należna nikomu,
Wyzwolona z kalectwa, wypłukana ze sromu!

Brnęła tędy - owędy szukająca swej drogi,
Niby szczątek okrętu, co się wyzbył załogi !

Grzała gnaty na słońcu ku swobodzie, ku życiu,
Zapłasała radośnie na swym własnym odbiciu!

I we zwawych poskokach podyrdała przez fale.
Oj da-dana. da-dana! - w te zaświaty - oddale!

DUSIOŁEK

Szedł po świecie Bajdała,
Co go wiosna zagrzała -
Oprócz siebie - wiódł szkapę, oprócz szkapy - wołu,
Tyleż tędy, co wszędy, szedł z nimi pospołu.

Zachciało się Bajdale,
Przespać upał w upale,
Wypatrzył zezem ściółkę ze mchu popod lasem,
Czy dogodna dla karku - spróbował obcasem.

Poległ cielska tobołem
Między szkapą a wołem,
Skrzywił gębę na bakier i jęzorem mlasnął
I ziewnął wniebogłosy i splunął i zasnął.

Nie wiadomo dziś wcale,
Co się śniło Bajdale?
Lecz wiadomo, że szpecąc przystojność przestworza,
Wylazł z rowu Dusiołek, jak półbabeł z łoża.

Pysk miał z żabia ślimaczy -
(Że też taki żyć raczy!) -
A zad tyli, co kwoka, kiedy znosi jajo.
Milcz gębo nieposłuszna, bo dziewczki wyłają!

Ogon miał ci z rzemyka,
Podogonie zaś z łyka.

Siadł Bajdale na piersi, jak ten kruk na snopie -
Póty dusił i dusił, aż coś warkło w chłopie!

Warkło, trzasło, spotniało!

Coć się stało, Bajdało?

Dmucha w wąsy ze zgrozy, jękiem złemu przeczy -
Słuchajta, wszystkie wierzby, jak chłop przez sen beczy!

Sterał we śnie Bajdała

Pół duszy i pół ciała,

Lecz po prawdzie niedługo ze zmorą marudził -

Wyparskał ją nozdrzami, zmarszczył się i zbudził.

Rzekł Bajdała do szkapy:

Czemu zwieszasz swe chrapy?

Trzebać było kopytem Dusiołka przetrącić,

Zanim zdążył mój spokój w całym polu zmać!

Rzekł Bajdała do wołu:

Czemuś skąpił mozołu?

Trzebać było rogami Dusiołka postronąć,

Gdy chciał na mnie swej duszy paskudę wyłonić!

Rzekł Bajdała do Boga:

O, rety - olaboga!

Nie dość ci, żeś potworzył mnie, szkapę i wołka,

Jeszcześ musiał takiego zmajsztrować Dusiołka?

ŚWIDRYGA I MIDRYGA

To nie konie tak cwałują i uszami strzygą,
Jeno tańczą dwaj opoje - Świdryga z Midrygą.

A nie stęka tak stodoła pod cepów bijakiem,
Jak ta łąka, żgana stopą srożej, niż kułakiem!

Zaskoczyła ich na słońcu Południca blada
I Świdrydze i Midrydze i tańcowi rada.

Zaglądała im do oczu chciwie, jak do żłobu.
„Który w tańcu mię wyhula, bom jedna dla obu?” -

„Moja będzie - rzekł Swidryga - ta pierś i ta szyja!” -
A Midryga pięścią przeczy: „Moja lub niczyja!”

Ten ją porwał za dłoń jedną, a tamten za wtórą.
„Musisz obu nam nastarczyć, skąpico-dziewczuro!”

A ona im prosto w usta dyszy bez oddechu,
A ona im prosto w oczy śmieje się bez śmiechu.

I rozdwa się po równu, rozszczepia się żwawo
Na dwie dziewczki, na siostrzane - na lewą i prawą.

„Dosyć ciała dwoistego mamy tu na łące!
Tańczcie z nami południami, dopóki jarzące!

Jedna dziewczka rąk ma czworo i cztery ma łydy !
Niech upoją nas do reszty twe słodkie bezwstydy!"

Nasrożyli się do tańca, jak gdyby do boju -
Przysporzyli kwiatom zgiełku, łące - niepokoju.

Więc Świdryga płaśał z prawą, więc Midryga - z lewą,
Ten obcasem kurz zamiatał, a tamten - cholewą.

Na odsiebkę, na odkrętkę i znów na odwrotkę -
Podeptali macierzanę, błyszczkę i tymotkę!

Jeden wrzeszczał: „Konaj żywcem!", a drugi:
„Wciornaści!" Tańcowali aż do zdechu i aż do upaści !

Aż poczuli, że dziewczyna życie w tańcu traci,
I umarła jednocześnie we dwojej postaci.

„Pochowajmy owo ciało nie bardzo samotne,
Bo podwójne w tańcowaniu. a w śmierci dwukrotne.

Pochowajmy na cmentarzu, gdzie za drzewem - drzewo.
Zmówmy pacierz obopólny - za prawą i lewą."

W dwóch ją trumnach ułożyli, ale w jednym grobie -
A już huczy echo ziemne - tańczą trumny obie!

Tańczą, ciałem nakarmione, syte i hulaszczce,
Ukazując co raz w tańcu nie domkniętą paszczę.

Tańczą, skaczą i wirują, klepką dzwonią w klepkę,
Na odkrętkę, na odwrotkę i znów na odsiebkę!

Aż się kręci razem z nimi śmierć w skocznych lamentach,
Aż się wzdryga wnętrznościami przerażony cmentarz!

Aż się w sobie zatraciło błędne tańca koło,
Aż się stało popod ziemią huczno i wesoło!

Aż zmaciły się rozumy Świdrydze-Midrydze,
Jakby wichur je rozhulał na wiatraka śmidze!

I rozwiała się w ich głowach ta wiedza pomglona,
Gdzie jest prawa strona świata, a gdzie lewa strona?

W jakiej trumnie lewa dziewczka. w jakiej prawa leży?
I która z nich i do kogo po śmierci należy?

Tak im w oczach opętanych świat się cały miga,
Że nie wiedzą, kto Świdryga, a kto z nich Midryga?

Jeno ujrzą otchłań śmierci czarną od ogromu:
„A bądźcie tu. ludzie dobrzy, jak u siebie w domu!

Jedna trumna dla jednego, dla drugiego - druga,
W jednej wieczność prawym okiem, w drugiej lewym mruga !”

Obłąkani nad przepaścią poklękali wzajem
I na klęczkach zatańczyli tuż, tuż nad jej skrajem.

Tańcowali na czworakach, tańcowali płazem,
Tak i nie tak - i na opak - razem i nie razem!

Aż wwichrzeni w mrok dwóch trumien, jak dwa błędne wióry,
Powpadali w otchłań śmierci nogami do góry!

ZIELONY DZBAN

To nie stu rycerzy, lecz sto trupów leży!
Nie sto trupów leży, jeno stu rycerzy!
A nie dla nich ruczaj dzwoni,
A bór szumny od nich stroni,
Jeno wicher we sto koni
Znikąd ku nim bieży.

Wybiła godzina - wiosna się zaczyna,
Z chaty poprzez kwiaty wybiega dziewczyna,
Dzban zielony, pełen wody,
Niesie zmarłym dla ochłody
W skwar śmiertelnej niepogody,
Co w proch wargi ścina.

Stopy moje - bose, skronie - złotowłose,
Kochałam, płakałam, zmarłym wodę niosę,
Oczerstwijcie ból wasz słony,
Smakiem śmierci podrażniony,
Cały ranek w dzban zielony
Ciulałam tę rosę.

Wypić - wypijemy, lecz nie ożyjemy,
Na polu w kąkolu żal się chwieje niemy,
A my leżym z ziemią w znowie
W tym tu rowie i parowie,
Lecz nikt tego nie wypowie,
Gdzie my teraz, gdzie my?

Jedyny dobytek - ciszy w sobie zbytek
I snu podziemnego żmudny bezpożytek.
Nim sporządzisz dla nas sanie
Na wieczyste zimowanie,
Połóż wieniec na kurhanie
Z kalinowych witek.

W waszym zgromadzeniu, w natłoczonym cieniu,
Jest taki, co maki kładł mi na ramieniu,
Niech ze dzbana pije wodę,
Niech przypomni lata młode,
Gdy raz spojrział w mą urodę
W nagłym zachwyceniu !

Płyną dni niezłomne, czasy nieprzytomne,
Nie wierzę, że leżę trzy lata ogromne!
Mak pamiętam purpurowy,
Ale twojej, dziewczę, mowy
I tej złotej w słońcu głowy
Już dziś nie przypomnę!

Chmurzą się błękity, płacze deszcz obfity,
Na trawie w murawie leży dzban rozbity,
Dzban rozbity leży, leży,
A śpi pod nim stu rycerzy,
A wiatr znikąd ku nim bieży,
Kurzawą okryty!

ŚMIERCIE

Chodzą Śmiercie po słonecznej stronie,
Trzymający się wzajem za dłonie.

Którą z naszej wybierzesz gromady,
By w cmentarne uprowadzić sady?

Nie chciał pierwszej, że nazbyt miniasta,
Grób, gdy hardy, pokrzywą porasta.

Nie chciał drugiej, że nadmiernie złota,
Nie zna ciszy, kto się tak migota.

Wybrał trzecią, co choć bugulichą,
Lecz tak cicha, że wszystko nacicha.

Coś za jedna, że podobasz mi się
W swym bożystym na ziemi zarysie?

Żal mi, przeżał ptaka, co odlata,
Dla cię umrę z nieżalu do świata.

Błada jesteś, jak to słońce w zimie -
Kędy dom twój i jak ci na imię?

Dom mój stoi na ziemi uboczu,
A na imię nic nie mam, prócz oczu.

Nic w tych oczach nie mam, prócz wieczoru,
Pewna byłam twojego wyboru.

Jeden zowąd śmierć sobie wybiera,
Ale drugi tą śmiercią umiera.

Choć wybrałeś, nie wiedząc dla kogo,
Zawszeć będę pamiętną i drogą.

Jestem śmiercią twojej matki, co w chacie
Uśmiechnięta czeka teraz na cię.

STRÓJ

Miała w sadzie strój bogaty,
Malowany w różne światy,
Że gdy w nim się zapodziała,
Nie wędrując - wędrowała.
Strój koloru murawego,
A odcienia złocistego -
Murawego - dla murawy,
Złocistego - dla zabawy.

Zbiegło się na te dziwy aż stu planetników,
Otoczyli ją kołem, nie szczędząc okrzyków.

Podawali ją sobie z rąk do rąk, jak czarę:
„Pójmymy duszę tym miodem, co ma oczy kare!”

Podawali ją sobie z ust do ust na zmiany:
„Słodko wargą potłoczyć taki krzew różany!”

Porywali ją naraz w stu pieszczot zawieję:
„Dziej się w tobie to samo, co i w nas się dzieje!”

Dwojgiem piersi ust głodnych karmiła secinę:
„Nikt tak słodko nie ginał, jak ja teraz ginę!”

Szła pieszczota koleją, dreszcz z dreszczem się mijał,
Nim jeden wypił do dna - już drugi nadpijał.

Kto oddawał - dech chwycił, a kto brał - dech tracił,
A kto czekał za długo - rozumem przyplącił!

Sad oszalał i stał się nie znany nikomu,
Gdy ona, jeszcze mdlejąc, wróciła do domu.

Miała w oczach ich zamęt, w piersi - ich oddechy,
I płonęła na twarzy od cudzej uciechy!

„Jakiż wicher warkocze w świat ci rozwieruszył?”
„Ach, to strzelec - postrzelec w polu mnie ogłuszył!”

„Co za dreszcz twoim ciałem tak żarliwie miota?”

„Śniła mi się w śródleciu burza i pieszczota!”

Mać ją, płacząc, wyklęła - ojciec precz wyrzucił,

Siostra łokciem skarciła, a brat się odwrócił.

A kochanek za progiem z pierścieni ograbił,

I nie było nikogo, kto by jej nie zabił.

I nie było nikogo, kto by nie był dumny,

Że ją przeżył, gdy poszła wraz z hańbą do trumny.

Tylko Bóg jej nie zdradził i ślepo w nią wierzył

I przez łzy się uśmiechał, że ją w niebie przeżył.

„Ty musisz dla mnie polec na śmierci wezglowiu,

A ja muszę dla ciebie trwać na pogotowiu!

Ty pójdziesz tą doliną, gdzie ustaje łkanie,

A ja pójde tą górą na twoje spotkanie.

Ty opatrzysz me rany, ja twych pieszczot ciernie,

I będziem odtąd w siebie wierzyli bezmiernie!”

Miała w trumnie strój bogaty,

Malowany w różne światy,

Że gdy w nim się zapodziała,

Nie wędrując - wędrowała.

Strój koloru murawego,

A odcienia złocistego -
Murawego - dla murawy,
Złocistego - dla zabawy.

BALLADA BEZLUDNA

Niedostępna ludzkim oczom, że nikt po niej się nie błąka,
W swym bezpieczeństwie szmaragdowym rozkwitała w bezmiar łąka,
Strumień skrzył się na zieleni nieustannie zmienną łąką,
A gwoździki spoza trawy wykrapiały się wiśniato.
Świerszcz, od rosy spęczniały, ciemnił pysk nadmiarem śliny,
I dmuchawiec kroplą mlecza błyskał w zadrach swej łąciny,
A dech łąki wrzał od wrzawy, wrzał i żywcem w słońce dyszał,
I nie było nikogo, kto by to widział, kto by to słyszał.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż nie ma ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach nie ma?

Zabóstwiło się cudacznie pod blekotem na uboczu,
A to jakaś mgła dziewczęca chciała dostać warg i oczu,
A czuć było, jak boleśnie chce się stworzyć, chce się wcielić,
Raz warkoczem się zazłocić, raz piersiami się zabielić -
I czuć było, jak się zmaga zdyszanego meką łona,
Aż na wieki sił jej zbrakło - i spoczęła niezjawiona!
Jeno miejsce, gdzie być mogła, jeszcze trwało i szumiało,
Próżne miejsce na te dusze, wonne miejsce na to ciało.

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż nie ma ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach nie ma?

Przywabione obcym szmerem, wszystkie zioła i owady
Wrzawnie zbiegły się w to miejsce, niebывałe wesząc olady,
Pająk w nicość się nastawił, by pochwycić cień jej cienia,
Bąk otrąbił uroczystość spełnionego nieistnienia,
Żuki grały jej potrupne, świerszcze pieśni powitalne,
Kwiaty wiły się we wieńce, ach, we wieńce pożegnalne!
Wszyscy byli w owym miejscu na słonecznym, na obrzędzie,
Prócz tej jednej, co być mogła, a nie była i nie będzie!

Gdzież me piersi, Czerwcami gorące?
Czemuż nie ma ust moich na łące?
Rwać mi kwiaty rękami obiema!
Czemuż rąk mych tam na kwiatach nie ma?

ZALOTY

Nędzarz bez nóg, do wózka na żmudne rozpędy
Przytwierdzony, jak zielsko do ruchomej grzędy,
Zgroza białych przechodniów i ulic zakała,
Obsługując starannie brzemień swego ciała,
Kręci korbę, jak gdyby na lirze w czas słoty
Wygrywał swoje skoczne ku niebu turkoty -

I nad brzegiem urwistym tęczowych rynsztoków
Toczy się wraz z odbiciem zmydlonych obłoków,
Toczy się bałamutnie do dziewczki z podwórza,
Do przystani stóp bosych - i ducha wynurza
Z łachmanów i wyciąga paździoły swych dłoni
Ku jej zębom śnieżystym i tak mówi do niej
„Kocham strzęp twojej błotem zbryzganej spódnicy,
Kocham głośny twój oddech ! Na całej ulicy
Ty jedynie mym ustom bywasz tak potrzebna!
Wiem, że moja tęsknota, niby szkapa żrebna,
Wlekąc mię, wyda na świat plód nowych udęczeń.
W tym mój tryumf, że jestem niestrudzony klęczeń
Twojej krasy! Kochajże mnie! Nuże do pieśczoły!
Potwór błaga cię o nią! Przyjm moje zaloty!
Wnijdz naga i bezwstydna w mej nędzy bezdomność
I tak pieść, by wargami pożreć mą ułomność! „

Ona mu się broni,
A on mówi do niej
„Wszak musi ktoś pokochać to, co już się stało ?
I ten wózek męczeński i korbę zboliałą,
I żądzę w resztkach cielska, jak w zgliszczach, poczętą,
I ten ochłap człowieka, co chce być przynętą!
Odsłoń czar w mej brzydocie! Znijdz z wyżyn do karła!
Bądź posłuszna mym dłoniom, jak ślepa lub zmarła!
Zdołam być nieodparty, jako grzech i zguba,
I potrafię wysiłkiem zmyślnego kadłuba
Zdobyć się na pieśczoły słodkie, jak czereśnie,
Których dotąd nikt nigdy nie oglądał we śnie!”

Ona mu się broni,
A on mówi do niej
„Małoz ci pół człowieka, by stał się twym skarbem?
Chcę być drogą ci raną, wiernym tobie garbem!
Czyż próżni, którą nóg mych nieobecność tworzy,
Nie zapełni ból, miłość ni jęk mych bezdroży?
Śmiech mię bierze! O, gdybym ziemię nieobjętą
Młógl uderzyć raz w życiu zdrową, silną piętą
I widzieć, jak zdeptana pod stopą wygląda!
Spieszno mi w nieskończoność! Wiem, że mnie pożąda
I bez wstępu spożyje me łachy i żale.
Są gdzieś dłonie mi chętne i usta - korale,
Co od głów się przesuną w pieszczocie ochoczej
Aż do stóp, których nie ma! Niech wóz się potoczy
Na przełaj - tam, gdzie właśnie ode mnie z daleka
Ktokolwiek, zwierz lub robak, na mą miłość czeka”

Ona mu się broni,
A on w zaświat stroni,
Ona go swoim czarem do bólu zachęca,
A on patrzy, nie patrząc, i korbę pokręca
I odjeżdża - odjeżdża - gdziekolwiek - pośpiesznie,
Ffurkocząc i furkocząc niezgrabnie i śmiesznie,
Odjeżdża, kalekując, w poszukiwań znoje,
W kraje przygód miłosnych, w wieczne niepokoje.

SZEWczyk

W mgłach daleceje sierp księżyca,
Zatkwiony ostrzem w czub komina,
Latarnia się na palcach wspina
W mrok, gdzie już kończy się ulica.
Obłądny szewczyk - kuternoga
Szyje, wpatrzony w zmór odměty,
Buty na miarę stopy Boga,
Co mu na imię - Nieobjęty!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Boże obłoków, Boże rosy,
Naści z mej dłoni dar obfity,
Abyś nie chadzał w niebie bosy
I stóp nie ranił o błękyty!
Niech duchy, pałac gwiazd pochodnie,
Powiedzą kiedyś w chmur powodzi,
Że tam, gdzie na świat szewc przychodzi,
Bóg przyobuty bywa godnie.

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

Dałeś mi, Boże, kęs istnienia,
Co mi na całą starczy drogę -
Przebacz, że wpośród nędzy cienia
Nic ci, prócz butów, dać nie mogę.
W szyciu nic nie ma, oprócz szycia,
Więc szyjmy, póki starczy siły!
W życiu nic nie ma, oprócz życia,
Więc żyjmy aż po kres mogiły!

Błogosławiony trud,
Z którego twórczej mocy
Powstaje taki but
Wśród takiej srebrnej nocy!

GARBUS

Mrze garbus dosyć korzystnie:
W pogodę i babie lato.
Garbaty żywot miał istnie,
I śmierć ma istnie garbatą.

Mrze w drodze, w mgieł upowiciu,
Jakby baśń trudną rozstrzygał,
A nic nie robił w tym życiu,
Jeno garb dźwigał i dźwigał.

Tym garbem zebrał i tańczył,
Tym garbem dumal i roił,

Do snu na plecach go niańczył,
Krwia własną karmił i poił.

A teraz śmierć sobie skarbi,
W jej mrok wydłużył już szyję,
Jeno garb jeszcze się garbi,
Pokątnie żyje i tyje.

Przeżył swojego wielbłąda
O równą swej tuszy chwilę,
Nieboszczyk ciemność ogląda,
A on - te w słońcu motyle.

I do zmarłego dźwigacza
Powiada, grożąc swą kłodą:
„Co ten twój upór oznacza,
Żeś w poprzek legł mi przegrodą?

Czyś w mgle potracił kolana?
Czyś snem pomiażdżył swe nogi?
Po coś mię brał na barana,
By zgubić drogę w pół drogi?

Czemuś łbem utkwiał na cieniu?
Z trudem w twych barach się mieszczę!
Ciekawym, wieczysty leniu,
Dokąd poniesiesz mnie jeszcze?”

ŻOŁNIERZ

Wrócił żołnierz na wiosnę z wojennej wyprawy,
Ale bardzo niemrawy i bardzo koślawy.

Kula go tak schłostała po nogach i bokach,
Że nie mógł iść inaczej, jak tylko w poskokach.

Stał się smutku wesołkiem, skoczkiem swej niedoli,
Śmieszył ludzi tym bólem, co tak skacząc, boli.

Śmieszył skargi hołubcem i żalu wyrwasem
I żmudnego cierpienia nagłym wywijasem.

Zwłókł się do swej chałupy : „Idź precz popod płoty,
Niepotrzebny nam skoczek w polu do roboty!”

Pobiegł do swego kuma, co w kościele dzwonił,
Lecz ten nie chciał go poznać i kijem postronił.

Podreptał do kochanki, a ta się zaśmiała
Ramionami, biodrami, wszystką mocą ciała !

„Z takim w łożu drygałą mam tańczyć do śmierci?
Ciała ledwo ćwierć miary, a skoków - trzy ćwierci!

Ani myślę ci dotrwać w takim niedopłásie!
Ani myślę wargami sypiać na twym wásie!

Zanadtoś mi wyskoczny do nieba na przełaj !
Idźże sobie gdziekolwiek i nie klnij i nie łaj !”

Więc poszedł do figury, co stała przy drodze:
„Chryste, na wskroś sosnowy, a zamyśl się srodze!

Nie wiem, czyja cię ręka ciosała wyśmiewna,
Lecz to wiem, że skąpiła urody i drewna.

Masz kalekie kolana i kalekie nogi,
Pewno skaczesz, miast chodzić, unikając drogi?

Taki z ciebie chudzina, takie nic z obłoków,
Że mi będziesz dobranym towarzyszem skoków.”

Chrystus, słysząc te słowa, zsunął się na ziemię,
Ów, co Boga wyciosał, bity bywał w ciemię!

Obie ręce miał lewe, obie nogi - prawe,
Sosnowymi stopami podziurawił trawę.

„Marna ze mnie sośnina, lecz piechur nie marny,
Przejdę wieczność piechtami, chociażem niezdarny.

Pójdziemy nierozłącznie, bo wspólna nam droga,
Będzie nieco człowieka, będzie nieco Boga.

Podzielimy się męką - dzielnać jest męka! -
Wszak ta sama nas ludzka skoślawiła ręka.

Tobie trocha śmieszności, mnie śmieszności trocha,
Kto się pierwszy - zaśmieje - ten pierwszy pokocha.

Ty podeprzesz mię ciałem, ja ciebie sośniną;
A co ma się nam zdarzyć, niech się zdarzy ino!”

I wzięli się za ręce i poszli niezwłocznie,
Wadząc nogą o nogę śmiesznie i poskocznie.

I szli godzin wieczystych nie wiadomo ile,
Gdzież bo owe zegary, co wybrzmiały te chwile?

Mijały dni i noce, którym mijać chce się,
I mijało bezpole, bezkrzewie, bezlesie.

I nastąpiła wichura i ciemność bez końca
I straszna nieobecność wszelakiego słońca.

Kto tam z nocy na północ w burzę i zawieję
Tak bardzo człowieczeje i tak bożyścieje?

To dwa boże kulawce, dwa rzewne cudaki
Kuleją byle jako w świat nie byle jaki!

Jeden idzie w weselu, drugi w beżzałobie,
A obydwaj nawzajem zakochani w sobie.

Kulał Bóg, kulał człowiek, a żaden - za mało,
Nikt się nigdy nie dowie, co w nich tak kulało?

Skakali jako trzeba i jako nie trzeba,
Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!

TRZY RÓŻE

W sąsiedniej studni rdzawi się szczęk wiadra.
W ogrodzie cisza. Na kwiatach śpią skwary,
Spoza zieleni szarzeje płot stary.
Skrzy się ku słońcu sęk w płocie i zadra,
O wodę z pluskiem uderzył spód wiadra.

Spójrzmy przez liście na obłoki w niebie
I na promieni po gałęziach załom,
Zbliźmy swe dusze i pozwólmy ciałom
Być tym, czym wzajem pragną być dla siebie!
Spójrzmy przez liście na obłoki w niebie.

Woń róż, śpiew ptaków i dwie dusze znojne,
I dwa te ciała, ukryte w zieleni,
I ten ład słońca wśród bezładu cieni,
I najście ciszy nagłe, niespokojne,
Woń róż, śpiew ptaków i dwie dusze znojne.

A jeśli jeszcze, prócz duszy i ciała,
Jest w tym ogrodzie jakaś róża trzecia,
Której purpura przetrwa snów stulecia,
To wszakże ona też nam w piersi pała -
Ta róża trzecia, prócz duszy i ciała!

ROK NIEISTNIENIA

Nadchodzi rok nieistnienia, nadchodzi straszne bezkwiecie,
W tym roku wszystkie dziewczęta wyginą, niby motyle,
Ja pierwsza błędę samochcą i umrzeć muszę za chwilę -
I już umieram - o, spojrzysz ! - i już mnie nie ma na świecie !

Ucz się pożądać mej śmierci, ponętne pieścić nietrawanie,
Całować mrzonkę, co dla cię kształt ust czerwonych przybiera,
I wierzyć w radość mych cieni i w oczu mych obcowanie
Nie widzi, jeno obcuje ten, co naprawdę umiera.

Uczył się kochać umarłą, pieścił dłoń, której nie było,
Całował oczy zamknięte, każdą powiekę z osobna,
Porozumiewał się z piersią, jak z pełną pieszczot mogiłą -
Ale nie wiedział, co czuła, bo nazbyt była zagrobna.

Czy czujesz moje pieszczoty i pocałunki i radość?
Czyli nie bolą cię mroki i nieistnienia nadmiary?
O, wyznaj wszystko do końca, uczynić tęsknocie mej zadość,
Zadrzyj z miłości pośmiertnej, jeśli dostępne jej czary !

Czemuż tak wątpisz o zmarłej? Wszak już do cudów nawykam.
Miłości jestem posłuszna i szczęściu się nie opieram!
I czuję twoją pieszczotę i coraz bardziej zanikam,
I czuję twe pocałunki i coraz bardziej umieram.

WIECZOREM

Wieczorem było, wieczorem,
Gdy zorza gasła nad borem.
Dzienny ulatniał się skwar,
Rosa nam spadła na głowy
I zmierzchem dymił się jar,
Jar kalinowy.

Z daleka idzie, z daleka
Ten mrok, co kwiatów się zrzeka.
Gdy płosząc ospałą woń,
Chłód powiał nad pola zżęte,
O moją zagrzałaś skroń
Dłonie zziębnięte.

Nie wolno patrzeć, nie wolno
Bez pieszczot w ciemność dokolną!
Zbłąkanych w obszarach pól
Nie złączy żaden sen złoty,
Ni lęk, ni zgroza, ni ból,
Nic - prócz pieszczoty!

DWOJE LUDZIENKÓW

Często w duszy mi dzwoni pieśń, wyłkana w żalobie,
O tych dwojgu ludzieńkach, co kochali się w sobie.

Lecz w ogrodzie szept pierwszy miłosnego wyznania
Stał się dla nich przymusem do nagłego rozstania.

Nie widzieli się długo z czyjejś woli i winy,
A czas ciągle upływał - bezpowrotny, jedyny.

A gdy zesli się, dłonie wyciągając po kwiecie
Zachorzel tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!

Pod jaworem - dwa łóżka, pod jaworem - dwa cienie,
Pod jaworem ostatnie, beznadziejne spojrzenie.

I pomarli oboje, bez pieszczoty, bez grzechu,
Bez łyzy szczęścia na oczach, bez jednego uśmiechu.

Ust ich czerwień zagasła w zimnym śmierci fiolecie,
I pobledli tak bardzo, jak nikt dotąd na świecie!

Chcieli jeszcze się kochać poza własną mogiłą,
Ale miłość umarła, już miłości nie było.

I poklękli spóźnieni u niedoli swej proga,
By się modlić o wszystko, lecz nie było już Boga.

Więc sił resztą dotrwali aż do wiosny, do lata
By powrócić na ziemię - lecz nie było już świata.

DUSZA W NIEBIOSACH

Przybyła dusza na klęczkach do nieba w bożą obczyznę,
Nie chciała patrzeć na gwiazdy i na wieczności pierwszozną.

Nie chciała ulec weselu, ni nowym jaśnieć obliczem,
Ani wspominać nikogo, ani zapomnieć o niczem.

I rozpuściła warkocze i pomyślała w błękicie,
Że w niekochanych objęciach przemarnowała swe życie,

Bez zdrady i bez oporu, starannie kryjąc swą ranę,
Pieściła usta nielube i oczy niemiłowane.

I trwała dla nich bezwolna, i kwitła dla nich bezduszna
I przeżywała je - losem i była losom posłuszna.

A że nie kochała tak tkliwie, a nie kochała tak czule,
Że nikt w jej jasnym uśmiechu nie trafił myślą na bóle.

Lecz teraz nagle pojęła, że wobec Boga i nieba
Już nic nie wolno ukrywać i nic ukrywać nie trzeba.

Śmierć w niej obnaża pośpiesznie prawdę tak długo tajoną,
Tą prawdą skrzą się źrzenice, tą prawdą błyska się łono!

I dusza lękiem spłonęła, że wkrótce po jej pogrzebie
Przyjdzie w ślad za nią kochanek, aby odnaleźć ja w niebie.

Wyciągnie ku niej ramiona, ziemskiej wyzbyte rozpaczy,
I zajrzy w oczy i dawne jej niekochanie zobaczy.

W PRZEDDZIEŃ SWEGO ZMARTWYCHWSTANIA

W przeddzień swego zmartwychwstania, w przeddzień żywota
Bóg, leżąc w mogile, zmudne liczy chwile,
A przykuła go do ziemi ciała ciężkota.
Śmierć mu w oczy wieje, a on samotnieje.
I śni mu się na wprost lica
Betlejemską błyskawica
I żłób i siano.

I śni mu się brzeg jeziora ozieniały,
A smuga od łodzi po jeziorze chodzi,
I śnią mu się owe gaje, co tak szumiały,
Choć gajom boleśnie być marami we śnie!
A to wzgórze, to oliwne,
We wspomnieniach takie dziwne,
Takie dalekie!

I śnią mu się nasze twarze, niby niczyje,
Ręce nasze krwawe i lewe i prawe -
I to życie, co po śmierci nie wie, gdzie żyje,

Jeno szuka siebie po własnym pogrzebie.

Mówmy wobec jego zgonu

To, co mówi dzwon do dzwonu

Późnym wieczorem.

Nie zakłóćmy snu bożego, bożej niemoty!

Któż Boga obudzi pierwszy spośród ludzi?

Kto rozepnie w jego cieniu swoje namioty?

Cień się jego szerzy w bezbrzeż po bezbrzeży,

A my stójmy zwartym kołem

I śnijmy się Bogu społem,

Póki czas jeszcze.

DON KICHOT

W jednym z pozagrobowych parków, uroczyście

Zamiecionym skrzydłami bezsennych aniołów,

W cieniu drzew, co po ziemskich dziedziczą swe liście

Pożółkłe i zbyteczne - z dusza, niby ołów,

Ciężką, chociaż pozbytą życia nędz i lichot,

Na ławie marmurowej wysmukły Don Kichot

Siedzi, dumając nad tym, że dumać nie warto,

I pośmiertnym spojrzeniem, co nie sięga dalej,

Niżli dłoń rozmodlona, obrzuca głąb alej,

Gdzie ślad życia na piasku starannie zatarto.

Bóg darmo dłoń ku niemu wyciąga z pobliza,

Ażeby go powołać na wspólne biesiady

We mgle, którą anioły, czyniąc znaki krzyża,

Rozpraszają dla gościa. gość niezłomnie blady
Usuwa się i stroni i w pozgonnej ciszy
Udaje, że nie widzi nic i nic nie słyszy.

Niegdyś skrzydła wiatraków, sen posłuszny wiosnie,
Złocił mu w groźne miecze rycerskich orszaków,
A dzisiaj w dłoniach Boga, podanych miłośnie,
Widzi zdradliwe skrzydła ułudnych wiatraków,
I - nieufny - uśmiechem szyderczym przesłania
Możliwość nowych błędów, snów i opętania.

I nie postrzega nawet, jak nagle - bezszmerny
Anioł do stóp mu składa purpurową różę,
Przysłaną od Madonny na znak, że w lazurze
Pamięta o rycerzu, który był jej wierny.
Lecz on, niegdyś na ziemi istny wzór rycerza,
Znieważając wysłańca i dawczynię daru,
Odwraca twarz od róży, bo już nie dowierza
Kwiatom, które posądza o przebiegłość czaru.
Biały anioł się schyla nad niewiasty jeńcem,
I całując go w czoło, przytłumionym głosem
Szepcze: „To także od Niej!”... I nagłym rumieńcem
Zapłoniony odlata. A rycerz ukosem
W ślad jego napowietrzny nieufnie spoziera
I zachwiany w niewierze raz jeszcze umiera
Ową śmiercią, co wszelkim pocałunkom wzbrania
Budzić takich umarłych i w dniu zmartwychwstania!

ŁĄKA

I

Czy pamiętasz, jak głowę wynurzyłeś z boru,
Aby nazwać mnie Łąką pewnego wieczoru?
Zawołana po imieniu
Raz przejrzałam się w strumieniu -
I odtąd poznam siebie wśród reszty przestworu.

Przyszły do mnie motyle, utrudzone lotem,
Przyszły pszczoły z kadzidłem i mirrą i złotem,
Przyszła sama Nieskończoność,
By popatrzeć w mą zieloność -
Popatrzyła i odejść nie chciała z powrotem...

Kto całował mak w zbożu - nie zazna niedoli!
Trawa z ziemi wyrwana pachnie, lecz nie boli...
Kocham stopy twoje bose,
Że deptały kruchą rosę,
Rozróżniając na oślep chabry od kąkoli.

Niechże sen twój wędrowny zielenią poprowadzę!
Weź kwiaty w jedną rękę, a w drugą weź miedzę,
Połóż kwiaty na rozstaju,
Zwilżnij miedzę w tym ruczaju,
Co wie o mnie, że trawą brzeg jego nawiedzę.

Już słońce mimochodem do rowu napływa,
Skrzy się łopuch kosmaty i bujna pokrzywa -

Jeno pomyśl, że ci wolno
Kochać łąkę i mysz polną,
I przepiórkę, co z głuchym trzepotem się zrywa!

Idzie miłość po kwiatach - wadzi o tve ciało,
Zważaj, by ci przed czasem w słońcu nie zemdlało.
W mojej rosie, w moim znoju
Pod dostatkiem masz napoju
Dla wargi, przeciążonej purpurą dojrzałą.

Cień twej głowy do moich przybłąkał się cieni.
Wiem, że w oczach nie zdzierzysz tej wszystkiej zieleni,
A co w oku się nie zmieści,
To się w duszy rozszeleści!
Jeszcze dusza ci nieraz żywcem się odmieni.

Parna ziemia przez kwiaty żar dzienny wydycha,
Uschły motyl zeszywniał wśród jaskrów kielicha -
Oczarujmy się nawzajem,
Zaskoczeni nagłym Majem -
Maj się chyli ku nocy i miłość nacicha...

II

Nie nacicha ta miłość, co nie zna rozłąki !
Usta moje i piersi spragnione są Łąki!
Tam mój oblęd i ostoja,
Gdzie ty szumisz, Łąko moja!
Jakże pachną rozprute według ściegów pąki!

Rosą zwilżysz mi rzęsy, skostniałe od skwaru,
Zgłuchłe uszy orzeźwiesz falą twego gwaru,
A ja w kwiatach spodem dłoni
Nauzbieram różnej woni
I omyję twarz spiekłą w źródłach twego czaru.

Nie przeciwiąc się trawom, obnażę się cały,
Aby mnie tchnienia twoje; jak wierzbę, przewiały,
A ty paruj tym oparem,
Co pokłębili się nad jarem,
Niby przed snem zrzucony twój przyodziew biały.

Ucałować mi rąbki tego przyodziewu,
Że pełen twojej woni i twego przewiewu,
I zawiesić mi go potem
Na tej brzozie popod płótem
I zamierać pod brzożą od własnego śpiewu.

Dzisiaj chatę zamiotłem w jedno oka mgnienie,
Z czworga kątów różami wypłoszyłem cienie,
A próg, zdobny pajęczyną,
Namaściłem suto gliną
I wodą moje pyłne skropiłem przedsienie.

Jużem sobie nie szczędził radosnych zabiegów,
Wypiekając chleb z mąki, srebrzystszej od śniegów,
A tę ławę, tę - dębową
Przesłoniłem chustą nową,
Co się cała zieleni, krom czerwonych brzegów.

Będą czekał na ciebie z dłonią na zasuwie,
Zasłyszawszy twój szelest, z nóg zdejmę obuwie,
Wyjdę bosy na spotkanie,
Śpiewający niespodzianie.
A śpiewając, pomyślę, że pacierze mówię.

Wyślij pierwej z nowiną co najlichsze ziele,
Potem sama się przybliź z kwiatami na czele -
Pędząc przed się wonne kwiaty,
Wnijdź do wnętrza mojej chaty,
Bo chcę tobie sam na sam opowiedzieć wiele.

III

Weszłabym do twej chaty, gdy mgły się postronią,
Lecz nie wiem, czy się zmieszczę wraz z rosą i błonią.
Pierwej z niebem posąsiaduj,
Wszystkie cuda poobgaduj,
Nim napełnisz tę chatę miłością i wonią!

Jeszcze ja w żadnej chacie dotąd nie bywałam,
Wiem tylko, że przez szyby widnieję - niecała.
Jakże cała poprzez drogę
Do twej chaty wbiegnąć mogę?
Od naporu zieleni runie ściana biała!

Nie umawiaj się ze mną pod żadnym jaworem,
Bym ciebie nie dosięgła szumem a przestworem -
To, co szum wyśpiewa gwarnie,

Przestwór znajdzie i ogarnie!

A chata twoja stoi przede mną - otworem...

Mocniej zioła zapachną w cztery świata strony,

Gdy zbliżywszy je do ust, spojrzysz w nieboskłony...

Czy ta sama noc na niebie

Ośloniła mnie i ciebie,

Czy dwie noce odmienne, dwie różne zasłony?

A jeżeli dwie różne o różnym przezroczu,

Nie pokładźmy ich przeto w rosie - na uboczu,

Odmiennymi zasłonami

Powiewajmy nad drzewami,

Byśmy siebie nawzajem nie stracili z oczu!

Ja tu - na dnie zieleni, pod powierzchnią rosy,

A ty tam, kędy dla mnie kończą się niebiosy,

Czy się kończą, czy nie kończą -

Śpiewaj zowąd pieśń skowrończą,

Podzwaniając mi ostrzem rozbłyśkanej kosy.

Kosą grozi twa miłość, co pożera kwiaty,

Sierpem zgarniasz do duszy mych maków szkarłaty,

Lecz miłości się nie boję,

Jeno w zgrozie ci dostoję,

Bo i Bogu jest słodki powiew mojej szaty!

Porwijże mnie ku sobie, jeślić starczy mocy!

Lecz co pocznie beze mnie ten wicher sierocy?

Chyba wstrzymam dla poznaki
Popod chatą wszystkie maki,
Aby mógł mnie, gdy zechce, odnaleźć po nocy.

IV

Nie odnajdzie cię wicher, mrokiem ociemniały!
Rozweselił się błękit, gwiazdy pomłodniały!
Opętały moją głowę
Przywidzenia kalinowe,
Że rozkwitam tej nocy, niby krzew zuchwały.

A nie było na ziemi tak zmyślnego krzewu,
Noc się chwieje na strony od jego zachwiewu -
Wonna liściem i żywicą
Stańże, duszo, nad krynicą,
Spójrz, czyś dosyć podobna zielonemu drzewu?

Przystroimy się wzajem!
Śpi w tumanie rzeka,
Śpi kałuża pod płotem, śpi sad i pasieka,
Baczmyż przez ten wieczór cały,
By się okna nie pospały
I drzwi chaty znużonej, co na radość czeka.

Przyjdzie radość tym szlakiem, który jej się zdarzy -
Bądźmy zawsze gotowi i zawsze na straży.
Księżyc utkwi ponad studnią,
Gwiazdy w mroku się zaludnią
Snem, co jeszcze daleki, choć się z bliska marzy.

Za daleka mi byłaś wpośród kwiatów cienia,
Łąko - zielona Łąko, szumna od istnienia!
Chcę, byś była taka bliska,
Jak ta łąka, co gardło ściska,
Kiedy w nim się zapóźni śpiew twego imienia !

Zapóźniła się miłość, szukająca łona,
A któż taką spóźnioną na rosach pokona?
Straszno łodzią w świat popłynąć
I z miłości nie zaginać
W tych falach, gdzie się tężą piersi i ramiona!

I w północnej ochłodzie dość dla mnie upału!
Idę, Łąko, ku tobie brzegiem mego szału.
Ani zbrojny, ani konny,
Z ramion twoich wyjdę - wonny
I duchem zroszonemu uśmiechnięty ciału!

Sama chata rozwarła drzwi oścież ku wiośnie,
Wnijdźże teraz po ciemku - nagle i zazdrośnie!
Drzwi klonowe zamknę szczelnie
I zaśpiewam nieśmiertelnie,
A potem spojrzę w ciebie na wskroś i bezgłośnie!

V

Byłóż owo, nie było? Opowiedz nam, bracie,
Co się nocy dzisiejszej działo w twojej chacie?
Widzieliśmy, ludzie prości,

Niepojętość Zieloności

Za oknami - na ścianach i na twojej szacie.

Mówimy śpiewający, bo łatwiej przy śpiewie

Mówić o tym, co było, a czego się nie wie...

Psy, poległe nad potokiem,

Poglądały ludzkim wzrokiem,

I wzrok ludzki był w gwiazdach i w tym ślepym drzewie.

A zasię w naszych oczach były gwiazdne znaki,

I nie mogliśmy poznać, gdzie ludzie, gdzie maki.

Wszystko wokół było - gwiazdne

I odlotne i odjezdne,

Gromadzące się w białe nad ziemią orszaki.

I zdawało się wszystkim, że coś w niebie woła,

A zielona się światłość jarzyła dokoła,

Sny się wzajem pobudziły,

Ludzkie ciała opuściły

I pobiegły śnić w kwiaty i w najmniejsze zioła.

W nagłym pląsie skrzypnęły wszystkie kołowroty,

Zahuczały te groble, śpiewne od niemoty,

I w powietrzu było cudno,

Niby ludno, choć bezludno,

Jakby w nim się roiło od świąt i tęsknoty.

A na przeciąg tej nocy za sennym zrządzeniem

Każdy przezwiał się innym wobec gwiazd imieniem,

Więc gdy świt ozłocił dymy,
Ujrzeliśmy, że klęczymy,
Nie wiedząc, jak i kiedy zdjęci zapatrzeniem.

Powiedz nam, co się stało w tym polu czy w lesie,
Że się dotąd czujemy, jakoby w bezkresie,
A wyjednaj nam u kwiatów
Rozszerzenie ziemskich światów
Aż po owe oddale, dokąd oczom chce się...

I objaśnij nam potem słów śpiewną wspomogą,
Co rozbłysło w twej chacie ponad ciemną drogą?
Czy ją naszła piękna zmora,
Wykrzesana z wód jeziora,
Czy sen owy, co śni się w polu bez nikogo?

VI

Ani zmora z jeziora, ani sen skrzydlaty,
Lecz Łąka nawiedziła wnętrze mojej chaty!
Trwała ze mną na tej ławie,
Rozmawiając głośno prawie -
Na ścianach moich - rosa, na podłodze - kwiaty...

Nie grążyłem ja w niebie ni steru, ni wiosła,
Lecz mnie radość swym prądem zmiotła i uniosła.
Wieczność ku nam znikąd zbiegła,
U stóp naszych, warcząc, legła,
A pierś moja tej nocy chabrami porosła.

I było już wiadomo, że pułap sosnowy
Wonnym deszczem, jak obłok, pokropi nam głowy,
Bo nie snem się sny płomienia,
Jeno deszczem i zielenią -
Duch mi zbłąkał się w ciele, jak wpośród dąbrowy.

Przeto Bóg, co mnie stworzył, zbladł podziwem zdjęty,
Żem uszedł jego dłoniom w tych pokus odmęty!
W kształt mię ludzki rozżałobnił,
A jam znów się upodobnił
Kwiatom i wszelkim trawom i źdźbłom gorzkiej mięty.

Nawołujcie się ludzie, pod jasnym lazurem,
Chórem w światy spojrzycie, zatrwoźcie się chórem!
Miłość, wichrem rozpędzona,
Wszystko złamie i pokona,
Zaś tych, co się sprzeciwia, w śnie skrepuje sznurem!

A opaszcie świat cały ścisłym korowodem,
Aby wam się nie wymknał, schwytany niewodem...
Zapłąsajcie, zaśpiewajcie,
Pieśnią siebie wspomagajcie,
Toć wejdziemy w świat - próżnią, aby wyjść - ogrodem!

Niechaj dusza wam będzie błękitami czynna,
Stoi przed nią otworem ta jasność gościnna,
Czegokolwiek zażądacie,
To się zjawi w waszej chacie,
Bo nastąpiła godzina taka, a nie inna...

Ludzie - mgły, ludzie - jaskry i ludzie - jabłonie,
Rozwidnijcie się w słońcu, boć na pewno płonie!
Dla mnie - rosa, dla mnie - zieleń,
Dla was - nagłość rozwesień,
A kto pieśni wysłuchał - niech mi poda dłonie!

ZE ZBIORU *NAPÓJ CIENISTY* [1936]

PIERWSZA SCHADZKA

Pierwsza schadzka za grobem! Rozwalona brama.

Stąpaj pilnie!... Ucałuj ten po drodze krzak.

Czy to - ty? - Już zmieniona, a jeszcze - ta sama?

Upewnij!... Wzrok mi słabnie... Podaj dłonią znak!

Nie ma znaków! Od dawna już w nic się rozwiały!

Nie ma żadnych upewnień! Nikt nie wierzy w nas!...

Zmilkły śmiechy w ciemnościach i płacze ustały.

W pajęczynie po kątach zagnieździł się - czas...

Zejdź z drogi - ćmom i kwiatom!... Postróż się złudzeniom!...

Chyba najrzeczywistszy jest ten - siana stóg...

Czemu płaczesz? - Dla ludzi, oddanych istnieniom,

Ból nasz - ledwo jest dreszczem księżycowych smug.

DZIEWCZYNA

*Władysławowi Jaroszewiczowi,
Jego entuzjastycznym zapalom
dla dzieł twórczych i szczerym
wyczuciom czarów poetyckich*

Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadalo mur od marzeń strony,
A poza murem plakal głos, dziewczęcy głos zaprzepaszczony.

I pokochali głosu dźwięk i chętny domysł o Dziewczynie,
I zgadywali kształty ust po tym, jak śpiew od żalu ginie...

Mówili o niej: „Łka, więc jest!” - I nic innego nie mówili,
I przeżegnali cały świat - i świat zadumał się w tej chwili...

Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mury tłuc z łoskotem!
I nie wiedziała ślepa noc, kto jest człowiekiem, a kto młotem?

„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczyne rdzą powlecze!” -
Tak, waląc w mur, dwunasty brat do jedenastu innych rzecze.

Ale daremny był ich trud, daremny ramion sprzęg i usił!
Oddali ciała swe na strwon owemu snowi, co ich kusił!

Łamią się piersi, trzeszczy kość, próchnieją dłonie, twarze bledną...
I wszyscy w jednym zmarli dniu i noc wieczystą mieli jedną!

Lecz cienie zmarłych - Boże mój! - nie wypuściły młotów z dłoni!
I tylko inny płynie czas - i tylko młot inaczej dzwoni...

I dzwoni w przód! I dzwoni wstak! I wżwżż za kaźdym grzmi nawrotem!

I nie wiedziała ślepa noc, kto tu jest cieniem, a kto młotem?

„O, prędeż skruszmy zimny głaż, nim śmierć Dziewczyne rdzą powlecze!” -

Tak, wałac w mur, dwunasty cień do jedenastu innych rzecze.

Lecz ceniom zbrakło nagle sił, a cień się mrokom nie opiera!

I powymarły jeszcze raz, bo nigdy dość się nie umiera...

I nigdy dość, i nigdy tak, jak pragnie tego ów, co kona!...

I znikła treść - i zginął ślad - i powieść o nich już skończona!

Lecz dzielne młoty - Boże mój - mdłej nie poddały się żalobie!

I same przez się biły w mur, huczały śpizem same w sobie!

Huczały w mrok, huczały w blask i ociekały ludzkim potem!

I nie wiedziała ślepa noc, czym bywa młot, gdy nie jest młotem?

„O, prędeż skruszmy zimny głaż, nim śmierć Dziewczyne rdzą powlecze!” -

Tak, wałac w mur, dwunasty młot do jedenastu innych rzecze.

I runął mur, tysiącem ech wstrząsając wzgórza i doliny!

Lecz poza murem - nic i nic! Ni żywej duszy, ni Dziewczyny!

Niczyich oczu ani ust! I niczyjego w kwiatach losu!

Bo to był głos i tylko - głos, i nic nie było oprócz głosu!

Nic - tylko płacz i żal i mrok i niewiadość i zatrata!

Takiż to świat! Niedobry świat! Czemuż innego nie ma świata?

Wobec kłamliwych jawnie snów, wobec zmarniałych w nicość cudów,
Potężne młoty legły w rząd, na znak spełnionych godnie trudów.

I była zgroza nagłych cisz. I była próżnia w całym niebie!
A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?

W ZAKĄTKU CMENTARZA

Mają zmarli w niedzielę ten pośmiertny kłopot,
Że w obczyźnie cmentarza czują się - bezdomnie -
A lubią noc tę spędzać popod mgłą lub popod
Wiecznością, co się w jarach gęstwi nieprzytomnie.

Maria z Bzówka - wygody wspomina izdebne,
Słońce - w łóżku, wiatr - w sieni - i ogród macierzyn,
Gdzie było tyle w radość uchodzących ścieżyn,
A wszystkie takie - trafne i drzewom - potrzebne!...

Żebak, co się zadławił na śmierć krztyną chleba -
Kijem niegdyś wędrownym obłądnie się babrze
W nieodgadłe błękitnym - pełnym Boga - chabrze,
By zeń dla snu wiecznego wydłubać - źdźbło nieba.

Mnich, co po to byt ziemski tłumił bez szemrania,
By pędzić żywot wieczny w sposób nienaganny -
Kreśli palcem na próchnie list do panny Anny
Z życzeniami rychłego w kwiatach -zmartwychwstania.

Panna Anna udaje, że jest - w bezzałobie
I biorąc na kolana młodą mgłę - pieszczochę -
Ukradkiem z pajęczyny tka zwiewną pończochę
Dla brzozy, co tkwi bosą na kochanka grobie.

A opodal - mniej więcej naprzeciw rozstaju,
We fraku bezrozumnie skąsanym przez szczura,
Na czele kilku cieni żeńskiego rodzaju
Nieboszczyk Madaleński - prowadzi mazura.

KOCMOŁUCH

Gdy śródlistne trzepoty gilów i jemiołuch
Zmącą ciszy cmentarnej ustrój niezawily -
Cień z trudem z zaniedbanej wychodzi mogiły,
Cały w rdzach i liszajach - podziemny kocmołuch.

Słońce, grzejąc zmarłego, roztrwania po trawie
Złote krzty - złote supły i złotsze podłużki,
A on zmysłem nicości wyczuwa jaskrawie,
Jak śmierć w słońcu - w kształt nikłej maleje śmiertuszki...

Niezbyt pewny swej jawy i ufny snom niezbyt -
Spogląda oczodołów próżnicą wierutną
W obłoków napuszyście wybujął Bezbyt,
Poza którym nic nie ma, prócz tego, że smutno...

Lecz on smutek w pośmiertnej przekroczył podróży,
Pierś wzbogacił weselem nowego żywota,
A gdy mu nieśmiertelność zbyt modro się dłuży -
Tka snowi wieczystemu wezłowie ze złota !...

Zazdrozczę mu, bo duszę do trosk ma niezdolną,
Nie wie, co to jest - nędza i żal i pustkowie.
Poznał przepych tajemnic! Niech wszystko opowie,
Bo już - czas! Bo już dłużej przemilczać nie wolno!

Lecz w chwili, gdy chcę zwiewne zadać mu pytania
O słonecznych utrudach, o gwiazdnych mozolach,
Widzę nagle, jak blednąc męczeńsko się ślania
Ten zagrobnych ran pleśnią pokryty biedołąch!...

W gęstwinie - cieniścieje bezludzie i lśni tam
Zejdźcie nieba na ziemię do drzew na uboczu -
A ja patrzę w mrok jego spustoszałych oczu
I nie pytam już o nic... Już o nic nie pytam...

WIOSNA

Takiej wiosny rzetelnej, jaką w swym powiecie
Widział Jędrzek Wysmółek - nikt nie widział w świecie!

Poprzez okno karczemne łeb w bezmiar wyraził
I o mało się w durną mgłę nie przeobraził!

Lecz umocnił się w karku i nieco przybladłszy,
Łbem pochwiał dla otuchy, i splunął i patrzy...

Jego własna chałupa wraz z babą i sadem
Odwróciła się nagle nieproszonym zadem.

Wieprz-znajomek, nie większy na pozór od snopa,
Biegnie w skradzionych portkach Magdzinego chłopa.

Ryj mu Lilią zakwita! Czar bije od przodu!
I z wołaniem: „Gdzie Magda?” - pcha się do ogrodu!

Wóz drabiasty, jaskółczej doznając uciechy,
Z okrzykiem: „Co ja robię?” - frunął ponad strzechy.

A wójt w ślad mu się jarzy to modry, to złoty
I zębami przedrzeźnia znikłych kół turkoty.

Wywróconą na opak do rowu ulicą
Mknie Kachna i płonąca powiewa spódnicą.

Wichrzy się i pokłębja i upałem bucha,
Cała w ogniu i szumie! Pożar - nie dziewucha!

Skry miota wedle woli - nie szuka powodu,
I z szeptem: „Moja wina!” - dymi się od spodu!

A Maciej - ten z przeciwka, co to brak mu klepki,
Konno dybie w niebiosy wesoły i krzepki!

Cały w różach i malwach, coraz nieznajomszy
Pyskiem w niebie wydziwiał, jakby służył do mszy.

Tuż obok, jak to bywa między błękitami,
Przelatuje siedząco Pan Bóg z aniołami.

A ten wrzeszczy od rzeczy i na koniu pstroku
To skoczy, to zje malwę, to ginie w obłoku!

AKTEON

Powieść o Akteonie: wiosna szumi w borze.
Podpatrzył w blask boginię, skapaną w jeziorze.
Za karę go w jelenia przedzierzgnęła mściwie.
Pokrwawiła się wieczność o leśne igliwie!...
Psy go własne opadły, szarpiąc, jak zwierzyne!
Wpółśród godzin istnienia miał taką godzinę!...
Próżno bronił obcego, które boli, ciała!
Śmierć go, psami poszczuwszy, z jeleniem zrównała...
Próżno wzywał na pomoc dawnych towarzyszy,
Nasłuchując ich kroków na pobrzeżach ciszy!
Nikt nie poznał po głosie i po znoju rany,
Że to człowiek - nie jeleni! Duch - upolowany!
Nikt nie zgadł tajemnicy narzuconych wcieleń!
Musiał być tym, czym nie był! I zginął, jak jeleni!

I jam niegdyś był inny. Dziś jeszcze się złoce.
A złościłem się bardziej... Świadcami - złe noce!

Pamiętam dawnych braci rozbłyskane twarze.
Wówczas o czymś marzyłem... Dziś blednę, gdy marzę!
Nikt nie umiał tak istnieć, jak ja, w tej godzinie,
Gdym cię, Boże, podpatrzył! - Duch mój odtąd ginie!
Przemieniony w człowieka za nędzę mej zbrodni,
Dźwigam obce mi ciało w blask Bożej pochodni!
I ginę śmiercią; obcą, co mym kościom przeczy...
Inna mi się należy !... Nie chcę tej - człowieczej !...
Ginę, w ludzką powłokę wsnuty, jak w płaszcz zgrzebny.

Kto mnie pozna po płaszczu? Precz z nim!
Niepotrzebny ! Kto mnie pozna po głosie, że to ja tak śpiewam?
Milcz, głosie! Nie mój jesteś! Swego już nie miewam...
Mając cudzych kształtów zgubną niepodobą,
Nawet w śmierci godzinie nie mogę być sobą!
Krwawą zmorę jelenia unosząc wśród powiek,
Próżno wołam o pomoc! - I ginę, jak człowiek!

ALCABON

Był na świecie Alcabon. Był, na pewno był!
O brzoź przyszłość wiódł z mgłami walki nieustanne.
Próżnię życia na karku dźwigał z całych sił!
„Tere - fere!” - tak śpiewał,
Gdy się śmierci spodziewał,
Aż pokochał osiadłą na strychu Kuriannę.

Dur go pchał wzwyż po schodach. Dur, na pewno dur!
We łbie miał złote mroczyki i srebrne zamiecie,

Gdy wspinając się ku niej, dawał baczny zór
Na czar, co się po cichu
Tak utrwała na strychu,
Jakby miejsca zabrakło gdzie indziej na świecie.

W drzwi uderzył oburącz. W drzwi, na pewno w drzwi!
Ktokolwiek w drzwi kołacze - niech wejdzie i kocha!
Kurianna, jak Kurianna... Śni raczej, niż drwi...
Na barłogu - od środka
Patrzy duża i słodka -
Lgnie do niej ufna ciało koszula - ciasnocha.

Znój mu wargi przynaglił! Znój, na pewno znój!
Szedł do niej po ciemnościach, jak wichur po łanie!
Kto ma oczy - niech widzi! Był ich cały trój:
On i barłóg, i ona,
I wyruchlił ramiona,
By ją porwać na trwałe wbrew światu kochanie!

Biel jej ciała przywłaszczał. Biel, na pewno biel!
A chłoneła go w siebie ciszką, jak mogiła,
Poznał, czym jest czar nocy, szeptał i chętna ścieł,
I tak skochał dziewczynę,
Że wołała w mrok: „Ginę!” -
Bo się pierwszej miłości niechętnie broniła.

Gil jej w uszach zadzwonił. Gil, na pewno gil!
Tak tętniła krwią śpiewną, tak drżała w głąb chcenia...
Zdzierz szczęście!... Nie zdzierzyła!... Ledwo kilka chwil!...

Nienawykła do czary,
Zmarła z westchnień nadmiaru,
Umierając, nie miała nic do powiedzenia!

Strych zawinił wszystkiemu! Strych, na pewno strych!
Z jego wyżyn dał w nicość nura bezpowrotnie -
Zaśmiał się w samo niebo, a przy ziemi ścichł,
Pilnej śmierci cios tępy
Duszę rozpruł na strzępy,
Aż się z niej wysypały skarby dożywotnie!

Piach się z duszy wysypał! Piach, na pewno piach!
Ten, co w podróż się złoci do zorzy, gdy kona -
Bochen chleba w gwiazd wieńcu - skrót pałacu w mgłach -
Rzęsa Boża - dwie pszczoły -
I trzy z wosku anioły.
Czego tylko nie było w duszy Alcabona!

POETA

Zaroilo się w sadach od tęcz i zawieruch;
Z drogi! - Idzie poeta - niebieski wycieruch!
Zbój obłoczny, co z światem jest - wspak i na noże!
Baczność! - Nic się przed takim uchronić nie może!
Słońce - w cebrze, dal - w szybie, świt - w studni, a zwłaszcza
Wszelkie dziwy z za jarów - prawem snu przywłaszcza.

Rad Boga między żuki wmodlić - do zielnika,
Gdzie się z listem miłosnym sam jelonek styka!...

Świetniejąc łachmanami - tym zwawszy, im golszy -
Nie bez wróżb się uśmiecha do grabu i olszy -
I widziano w dzień biały tego obłąkańca,
Jak wierzbę sponad rzeki porywał do tańca!
A tak zgubnie porywać, mimo drwin i zniewag -
Zdoła tylko z otchłanią sprzysiężony śpiewak.
Żona jego, żegnając swój los znakiem krzyża,
Na palcach - pełna lęku do niego się zbliża.
Stoi... Nie śmie przeszkadzać... On słowa nawleka
Na sznur rytmu, a ona płochliwie narzeka
„Giniemy... Córki nasze - w nędzy i rozpaczy...
A wiadomo, że jutro nie będzie inaczej...
Wleciesz nas w nieokreślność... Spójrz - my tu pod płotem
Mrzemy z głodu bez jutra, a ty nie wiesz o tem!” -
Wie i wiedział zawczasu!... I ze łzami w gardle
Wiersz układa pokutnie - złościście - umarłe -
Za pan brat ze zmorami... Treść, gdy w rytm się stacza,
Póty w nim się kołysze, aż się przeinacza.
Chętnie łowi treść, w której łązy prawdziwe płoną -
Ale kocha naprawdę tę - przeinaczoną...
I z zachłanną radością mąci mu się głowa,
Gdy ujmie niepochwytność w dwa przyległe słowa!
A słowa się po niebie włóczą i łajdaczą -
I udają, że znaczą coś więcej, niż znaczą!...

I po tym samym niebie - z tamtej ułud strony -
Znawca słowa - Bóg płynie - w poetę wpatrzony.
Widzi jego niezdolność do zarobkowania
I to, że się za snami tak pilnie ugania !

Stwierdza z zgrozą, że w chacie - nędza i zagłada -
A on w szale występny wiersz śpiewny układa !
I Bóg, wsparty wędrownie o srebrzystą krawędź
Obłoku, co się wzburzył skrzydłami, jak łabędź -
Z łabędzia - do poety, zbłąkanego we śnie -
Uśmiecha się i pięścią grozi jednocześnie!

URSZULA KOCHANOWSKA

Gdy po śmierci w niebiosów przybyłam pustkowie,
Bóg długo patrzył na mnie i głaskał po głowie.

„Zbliź się do mnie, Urszulo! Poglądasz, jak żywa...
Zrobię dla cię, co zechcesz, byś była szczęśliwa.”

„Zrób tak, Boże - szepnęłam - by w nieb Twoich krasie
Wszystko było tak samo, jak tam - w Czarnolasie!” -

I umilkłam złęknioma i oczy unoszę,
By zbadać, czy się gniewa, że Go o to proszę?

Uśmiechnął się i skinął - i wnet z Bożej łaski
Powstał dom kubek w kubek, jak nasz - Czarnolaski.

I sprzęty i donice rozkwitłego ziela
Tak podobne, aż oczom straszno od wesela !

I rzekł: „Oto są - sprzęty, a oto - donice.
Tylko patrzeć, jak przyjdą stęsknieni rodzice!

I ja, gdy gwiazdy do snu poukładałam w niebie,
Nieraz do drzwi zapukam, by odwiedzić ciebie!”

I odszedł, a ja zaraz krzątam się, jak mogę -
Więc nakrywam do stołu, omiatam podłogę -

I w suknię najróżowszą ciało przyoblekam
I sen wieczny odpędzam - i czuwam - i czekam...

Już świt pierwszą rozniętą złoci się po ścianie,
Gdy właśnie słyhać kroki i do drzwi pukanie...

Więc zrywam się i biegnę! Wiatr po niebie dzwoni!
Serce w piersi zamiera... Nie!... To - Bóg, nie oni!...

W CZAS ZMARTWYCHWSTANIA

W czas zmartwychwstania Boża moc
Trafi na opór nagłych zdarzeń.
Nie wszystko stanie się w tę noc
Według niebieskich wyobrażeń.

Są takie gardła, których zew
Umilkł w mogile - bezpowrotnie.
Jest taka krew - przelana krew,
Której nie przelał nikt - dwukrotnie.

Jest takie próchno, co już dość
Zaznało grozy w swym konaniu!
Jest taka dumna w ziemi kość,
Co się sprzeciwi - zmartwychwstaniu!

I cóż, że surma w niebie gra,
By nowym bytem świat odurzyć?
Nie każdy śmiech się zbudzić da!
Nie każda łza się da powtórzyć!

* * *

Po co tyle świec nade mną, tyle twarzy?
Ciału memu już nic złego się nie zdarzy.

Wszyscy stoją, a ja jeden tylko leżę -
Żal nieszczerzy, a umierać trzeba szczerze.

Leżę właśnie zapatrzony w wieńców liście,
Uroczyście - wiekuiście - osobiście.

Śmierć, co ścichła, znów zaczyna w głowie szumieć,
Lecz rozumiem, że nie trzeba nic rozumieć...

Tak mi ciężko zaznajamiać się z mogiłą,
Tak się nie chce być czymś innym, niż się było!

TRUPIĘGI

Kiedy nędzarz umiera, a śmierć swoje proso
Sypie mu na przynętę, by w trumnę szedł bosy,
Rodzina z swej ofiarnej rozpaczki korzysta,
By go obuć na wieczność, bo zbyt jest ciernista -
I grosz trwoniąc ostatni dla nóg niedołęgi,
Zdobywa buty z łyka, tak zwane trupięgi.
A gdy już go wystroi w te zbytki żebracze,
Wówczas dopiero widzi, że nędzarz - i płacze!

Ja - poeta, co z nędzy chciałem się wymigać,
Aby śpiewać bez troski i wieczność rozstrzygać,
Gdy mnie w noc okradziono, drwię z ziemskiej mitręgi,
Bo wiem, że tam - w zaświatach mam swoje trupięgi!
Dar kochanki czy wrogów chytra zapomoga? -
Wszystko jedno! W trupięgach pobiegnę do Boga!
I będę się chełpliwie przechadzał w zaświece,
Właśnie tam i z powrotem po obłoków grzbiecie,
I raz jeszcze - i nieraz - do trzeciego razu,
Nie szczędząc oczom Boga moich stóp pokazu!
A jeśli Bóg, cudaczną urażony pychą,
Wzgardzi mną, jak nicością, obutą zbyt lichy,
Ja - gniewny, nim się duch mój z prochem utożsamia,
Będę tupał na Niego tymi trupięgami!

* * *

Bóg mnie opuścił - nie wiem czemu...
Źle Mu w niebiosach! Wiem, że źle Mu...

Ojciec mój tak swą śmierć przeoczył,
Że idąc do dom - w grób się stoczył.

Siostra umarła z łez i z głodu,
A wszyscy mówią: „Bez powodu!”

A brat mój tak się z bólem ścierał,
Żem nasłuchiwał, gdy umierał...

Kochanka moja teraz ginie,
Żem ją pokochał w złej godzinie.

A ja - nim miasto w mroku zaśnie -
Idę ulicą, idę właśnie...

DO SIOSTRY

Spałaś w trumnie snem własnym, tak cicho, po bosku,
Nie wiem, czy wszystkich naraz pozbawiona trosk?
W śmierci taka zdrobniała, niby lalka z wosku...
Kocham ten ubożuchny, ten zbolały wosk!

Trup jest zawsze samotny! Sam na sam z otchłanią!...
A właśnie ja - twój brat -
Suknię Tobie sprawiłem za dużą i tanią,
Suknię - na tamten świat!

W każdym zgonie tkwi zbrodnia, co snem się powleka.

Chociaż zbrodniarza brak...

Wszyscy winni są śmierci każdego człowieka!

O, tak! Na pewno - tak!

Winnych wskazać potrafię!... I nikt się nie broni!...

I ten - i ta - i ów!...

I ja sam! Ja - najbardziej, choć wiem, że i oni!

I ja - i oni znów...

Wina wszystkich naokół - milcząca, zbiorowa,

A my mówimy: los!

Niech od złego Bóg żywych i zmarłych zachowa!

Módlmy się o to w głos!

Tak się lękam, że jesteś wciąż głodna i chora,

Że złą otrzymam wieść -

I że przyjdiesz zza grobu któregoś wieczora

I szepniesz: „Daj mi jeść!”

I cóż wtedy odpowiem? Nic mówić nie trzeba!...

Niech mówi za mnie - Bóg!

Siostro! Już w całym świecie nie ma tego chleba,

Co by Cię karmić mógł!

Trumna twoja spoczęła w ciężarowym wozie,

Pamiętam nudny wóz.

A była niedorzeczność i drwina w tej zgrozie!

I był niehumaniczny mus!

Bałem się, że Cię żywcem oddamy mogile
W złym, letargicznym śnie.
I ktoś wtargnął do wozu i rzekł, że się mylę,
I uspokoił mnie.

Czekałem, aż wóz ruszy, by wlec Cię do miasta...
W skwar słońca skrzypnął wóz.
Drgnęła trumna, a była godzina dwunasta.
Żelazny zagrział kłus!...

I sam nagle w tym słońcu musiałem pozostać.
Patrzyłem szynom w ślad...
Świat się zmniejszył na zawsze o twą drobną postać,
I zmałał cały świat!

I myśl wątła do mojej wsnęła się żaloby,
Niby pajęcza nić,
Myśl, że nie ma na świecie tak drogiej osoby,
Bez której nie można żyć!

Noc, przy zmarłych spędzona nazywa się - pusta!
Brak tego, o kim łkasz...
Zgniją oczy - i wyraz tych oczu - i usta.
Śmierć patrzy w kość, nie w twarz!...

Wiem, że gnijesz nabożnie i że wśród ciemnoty
Pośmiertny dźwigasz krzyż.
Lecz nie śmiem do podziemnej zaglądać Golgoty,
By sprawdzić, jak tam spisz?

Trup trzeźwieje - wyzuty z krwi i upojenia!
Już złudzeń - ani krzty!
A może Bóg omija twój zgręcz bez imienia
I nie wie, że to - Ty?

Boże, odlatujący w obce dla nas strony,
Powstrzymaj odlot swój -
I tul z płaczem do piersi ten wiecznie krzywdzony,
Wierzący w Ciebie gnój!

W NICOŚĆ ŚNIĄCA SIĘ DROGA

Poistniały czerwienie na niebiosów uboczu -
Poistniały dla nikogo, samym sobie raczej - wbrew...
I nie umiem powiedzieć, skąd uległość mych oczu
Tym zarysom drzew na chmurze... Trzebaż oczom takich drzew?...

Wiem, że muszę wypatrzeć w nicość śniącą się drogę.
Odchodzimy gdzieś co chwila i co chwila brak nam lic...
I nie mogę cię pieścić i nie pieścić nie mogę -
Tylko patrzę w zmierzch za tobą i nie pragnę widzieć nic.

Usta twoje - daleko! Usta twoje - tak blisko!
Serce w żalu zatwardziało do rąk białych weź i złam!
Czy pamiętasz ów ogród - płot wysoki - mgłę niską?
Mgła - to człowiek niepotrzebny, snem mi równy - taki sam!

Coś tam o nas przez liście zaszeptало do cienia -
Potoczyło się po drzewach - zrozumiało nas - i lśni
W ustach twoich - tkwi chłodna odrobina znużenia -
Więc pójdziemy do ogrodu! Poszukamy zmarłych dni!

Jest tam ścieżka znajoma - i jest drzewo za bramą.
Czy pamiętasz, jak się idzie? Trzeba minąć cały świat!
Wdziej tę suknię, co wtedy!... Włosy uczesz tak samo!
I pójdziemy do ogrodu... Ty idź - pierwsza... Pójdę w ślad...

SŁOWA DO PIEŚNI BEZ SŁÓW

Kto cię odmłodzi, żywocie wieczny? Sam się przeinacz!
Razem z chmurą się spłomień w zórz szkarłatnej zagęstce.
A ja - obłądny nie istniejących zdarzeń wspominać -
Bywam tobie najbliższy tylko we śnie i w kłęsce...

Nie było dolin - a jednak smutek stał w dolinie...
I choć wrózek nie było - w mgłach mówiono o wróźce...
Brzegiem obłoków fiolet płynie. Myśli, że płynie.
Sen się boczy na tego światła w nicość rozprószcę.

W odmętach nocy niech ciało się strzeże bezbronne ciało,
Niech swe losy przesłania byle jakim błękitem.
W moim ogrodzie coś się znagliło i zaszemrało -
Zaszemrało, jak gdyby ktoś się rozstał z niebytem.

Znam ja na pamięć jedną dziewczynę... Znam jej westchnienia
I mym ustom uległość pieszczotliwie zawiła.
Nic w niej nie było, oprócz uśmiechu i przeznaczenia -
I kochałem ją za to, że więcej nie było.

Znam taką duszę, co cmentarniejac nie do poznania,
Sztuczną różę w śmierć niosła... Była niegdyś różystką...
Skąd ten świat cały? - I róże sztuczne?... I czyjeś łkania?
I ja - w świecie - i ptaki - i pogrzeby - i wszystko?

Znam ja złocistość, co śni się niebu w imię rezedy...
Dla snów błędnych jest człowiek - lada bożą ustronią.
Grał niegdyś wieczór - i łódź się moja rozbiła wtedy
O tę zgubną złocistość. Tak się stało, że o nią.

Zorza dokrwawia swój żal do nieba w czerwieniach pustych,
A obłoki gasnące chcą w bezludny świat urósć.
Czymże jest dla mnie - albo dla jezior - albo dla brzóz tych
Głuchoniemej wieczności zaraźliwość i burość!

Czym tajemnicę w niepowtarzalnych dreszczach roztrwonił,
Gdym twe ciało w ciemnościach pieszczotami przejaśnił?...
Świat się już dla mnie dość nanicestwił i nastronił -
I jam dość się dla świata naczłowieczył i naśnił!

Śpieszno mi teraz do zmartwychwstania kilku topoli,
Co szumiały w pobliżu zanikłego w snach domu!
Śpieszno mi teraz do zatajonej w gwiazdach niedoli,
Którą muszę sam przeżyć, nic nie mówiąc nikomu.

I co ja zrobię po śmierci z sobą i całym światem?
Czy w twych łzach się zazłocę? Czy się we mgle - zniebieszczę?
Mrok nieodparty zszedł się w ogrodzie z bezwolnym kwiatem -
Myśmy byli w tym mroku i będziemy tam jeszcze!

MARSJANIE

Zagrzmie w niebie okrętów napowietrznych tę,
Niepokojąc międzygwiazdnych mgieł rozwiewisko.
Zniknie złuda przestrzeni, wyzwolonej z pęt -
Dość pomyśleć, że daleko, a już jest - blisko.

Na oścież się zasrebrzy księżycowy wstęp
Do bożymy - daleczyzny, w szmer i otchłanie -
A dołem - szumy leśne, zgielek drozdów i zień -
I na ziemię wylądują zwiewni Marsjanie.

Stopą obcą dotknięta - westchnie ziemi twardź,
I na chwilę to, co ziemskie, chętnie się zaćmi.
Po wiekach wyczekiwań i tych z niebem starć
Spokrewnimy się obłocznie z nowymi braćmi.

W ich oczach - wiary w Oddal nie gasnący płom,
A w ich piersi - bezmiar żywy, swoisty, rdzenny.
Poczną nam się przyglądać w beczasie jak snom -
I na zawsze się ustali ten pogład senny...

A przywiozą nam z nieba - rozmodlone ómy,
I zwierzęta zadumane - i zgubne baśnie.

I nagle zrozumiemy, że to jeszcze - my -
Że nie mogło być inaczej - tylko tak właśnie!...

W uczonej złości ich wróżebnych ksiąg
Wieszcz, co bogów nie odróżnia od chmur i łątek -
W czasie przeszłym - dni przyszłych spowiada ciąg
I pośmiertną wiedzą krzepi istnienia wątek...

Jakiś bóg z ich orszaku (złość się, mrzonko, złość!)
Zawieruszy się w jeziornym nieba odbiciu
I malejąc w docześnie srebrniejącą płóć,
Modrą wieczność w tym podwodnym wchłonie przeżyciu.

A ich elfy, co cierpią z dala od swych gwiazd
Na bezsenność wśród kwiatów (o, gwiezdnej cierpcie!),
W żal pobiegną przez nagle urojony chwast,
A ż w tym chwaście zaszeleszczą ich żwawe kierpcie.

Słyna z czarów Marsjanki!... Niezgadniona płeć
Od ust naszych je przegodzi - ledwo snu zasiedzą...
Byle tylko miłować i naglić i chcieć -
A nauczą nowych pieszczot. bo o czymś wiedzą...

Któż się zdoła domyśleć, jaki strach i szal
Pała w oczach, co się w słońcu mienia na opal!
Czym jest wobec tych niebem nasyconych ciał
Nasze ziemskie dziewuszątko i jego - chłopa!...

Z nich jedna - wiem na pewno, że pokocha mnie,
Ku mnie ciałem - wzbronny światu - występnie spłonie.
Obczyżno, przyswojona w pieśczoście i śnie!...
Tajemnico, co posiadasz - usta i dłonie!

Za jej sen - w mym uścisku, za pieśczoć nóg,
Za wniknięcie pocałunkiem w jej czary żyzne -
Oddam chętnie, natychmiast - na rozstaju dróg -
Żywot wieczny i tę całą - zagrobowiznę!

W ślad za nią będzie kroczył niewidzialny mops,
Co podziemne wężąc zmory, wyje w niebiosy
Lub szczeka głosem czujnie rozśpiewanych kobz,
By odstraszyć złe uroki - złe sny - złe losy.

Jak brzmieć będzie jej imię - nie wiem, ale wiem,
Że wprowadzi mnie w głąb cudów - przez szum i trawę
Tak, że drzewa, roślinny przerywając zdrzem,
Z jednej jawy wejdą w drugą - i w trzecią jawę!...

A wy, coście szarzyzny uprawiali brzydź
I zbiorową w pyskach złudę srożyli dumnie,
Czy zdołacie tym życiem, co was wydrwi, żyć
I w zawrotny przepych słońca wejść bezrozumnie?

Już odtąd - z odwróconym do błękitu łbem,
Z wiarą w nową zaoblóćność, w odkrycia niebne
Pobrniecie niedołążnie - między snem a snem -
Od przydrożnych wierzb przyjmując - guzy chwalebne !...

Guzy, które złagodzą pychę waszych wad

I okupią uporczywość ślepego grzechu...

A my - śmiać się z nich będziem - śmiać się w cały świat!

Jakże tęskno mi już dzisiaj - do tego śmiechu!

PAN BŁYSZCZYŃSKI

*Kazimierzowi Wierzyńskiemu,
Jego żywotnym zmaganiom się
z upiorami współczesności i zdobywczym
przeobrażeniom twórczym*

Ogród pana Błyszczyńskiego zielenieje na wymroczu,
Gdzie się cud rozrasta w zgrozę i bezprawie.
Sam go wywiódł z nicości błyszczydłami swych oczu
I utrwalił na podsnionej drzewom trawie.

Kiedy zmory są zajęte przyśpieszonym zmorowaniem
Między mgłą a niebem, między mgłą a wodą -
Zielna zjawa swe dłonie zbezpieleśnia ze łkaniem
Nad paprocią - nad pokrzywą - nad lebiodą.

W takiej chwili Bóg przelatał, pełen wspomnień wiekuistych,
Ścieżką podobłoczną - właśnie, że tułaczą -
I przystanął na zbiegu dwojga tęsknot gwiazdzistych,
Gdzie się widma migotliwie bylejąca.

Zaszumiało jaworowo, ale chyba wbrew jaworom -
Samym cisz zamętem, samą cisz utratą...
„Kto te szumy narzucił moim dumnym przestworom?
Kto ten ogród roznicestwił tak liściato?...”

Cisza... Nikt nie odpowiada. Płyną chmury i godziny...
Wszelka dal w niebiosach - to dal zagrobowa.

Pan Błyszczczyński w świat nagle z trwożnej wyszedł gęstwiny,
Szepnął: „Boże!” - i powiedział takie słowa:

„Był w zaświatach - sen i wichur i zakłętej burzy rozgruch
Boże, snów spełnionych już mi dziś nie ujmuj !
Jam te drzewa powcielał! To - mój zamysł i odruch...
Moje dziwy... Moje rosy... Dreszcz i znój mój !

Przebacz smutkom i widziadłom, nie znającym rodowodu,
I opacznym kwiatom, com je snuł z niczego...
Moja wina! O, Boże, wejdz do mego ogrodu!
Do ogrodu!... Do - mego!... Do - mego!...

Wyznam Tobie całą zwiewność, całą gęstwę mojej wiary
W życie zagrobowe kwiatów i motyli.
Wejdz do mego ogrodu! I cóż z tego, że czary!...
I cóż z tego, że ułuda nikłej chwili!...”

Wszedł w gęstwinę, co szumiała poza życia drogowskazem.
Sami byli teraz. Oko w oko - sami.
Nic do siebie nie rzekli i ciemniejąc, szli razem
Alejami - alejami - alejami!

Ogród śnił się... Tu i ówdzie dąb prześniony żółkł i powiało.
Każdy krzew sam w sobie miał zaświata wygląd.
Sporo było w gałęziach - cisz zbłąkanych i sowią,
Lecz nie było ani świerszczy, ani szczygłat.

Uciekały się niebiosy pod najdalszych gwiazd obronę.
Miesiąc złotym rogiem chmurę mgliście pobódł.
Trzepotały się w piachu dusze zmarłych, spragnione
Nowych zgonów i pośmiertnych w mroku swobód.

Coś złościście wyspowego w daleczyźnie alej pełga -
Można taką wyspę brwi skinieniem spłoszyć...
Świetlikami za chwilę północ w zieleń się węgła,
Niepokojąc gmatwaninę leśnych poszyć.

Pan Błyszczyński sprawdzał ogród, czy dość czarom jego uległ -
I czy szum i poszum dość jest rzeczywisty -
I czy liszaj na dębie - jadowity brzydulek -
Dość się wgryza w złudną korę i w pień śnisty?...

Badał jeszcze, czy ptak-lilia dość skowrończo w przyszłość śpiewa,
I czy wąż-tulipan wiosny jest oznaką...
I spojrzeniem przymuszał przeciwiące się drzewa,
By do zwykłych podobniały jako-tako...

Drapieżniały zbyt cudacznie zdradnych kwiatów niebywałki,
A gałęziom ciążył złej wieczności nawał.
Pod stopami przechodniów piach niepewny i miałki
Tyleż istniał, ile istnieć zaprzestawał.

Szli, aż doszli tam, gdzie w mrzonce zagęstwionej i niczyjej
Cień dziewczyny jaśniał oczu w dal rozbłystką,
A jej usta i piersi i ramiona i sny jej
Były takie, żeby właśnie kochać wszystko...

Rzęsy miała dosyć złote, by rozwidnić blaskiem rzęs tych
Dno zmyślonych jezior, gdzie mży śmierć zmyślona -
Warkocz łatwo się płoszył, więc skrzydłami fal gęstych
Wciąż uciekał i powracał na ramiona.

Bóg w nią spojrział, kiedy właśnie wynurzona z mgieł spowicia
Urojone oczy w modre nic rozwarła.
„Kto ją stworzył?” - zapytał. „Nikt, bo przyszła bez życia
I bez śmierci, więc nie żyła i nie zmarła...”

Próżno szukam w jej warkoczu źdźbeł istnienia, snu okruszyn,
Próżno chcę ugłaskać pozłocisty kędzierz!
Tak mnie wzrusza ten niebyt, cudny niebyt dziewczyn!...
Bądź miłościw niebytowi... Wiem, że będziesz...

Wyłoniłem z mroku ogród, oderwany od przyczyny,
Rozkwieciłem próżnię, namnożyłem ścieżek -
I już wszystko rozumiem, prócz tej jednej dziewczyny,
Prócz tej jednej, którą kocham!” Bóg nic nie rzekł.

„Znam usilność rzeczy sennych i znużenie rzeczy martwych.
Ogród mój chwilami wolałby - bezlistnieć...
Boże, nie skąp w obłokach błogosławieństw i kar Twych
Tym, co wiedzą, że ich nie ma - a chcą istnieć!

W Twych przestworach coś się stało... Mgła o cud się dopomina...
Z tamtej strony świata modlą się zawieje.
I w tych strasznych beczasach taka nagła dziewczyna
Tak niebacznie poza życiem - cieleśniej!

Zbliż się do niej, ciemny jarze! Zbliż się do niej, modra strugo !
Czemuż pies mój wyje na jej czar cichutki?
Może zimne jej usta są ostatnią posługą
Dla tych właśnie, którzy wierzą tylko w smutki.

Znam niedolę wniebowstąpięń! Znam wskrzeszonych ust niedolę!
I płacz wśród zieleni... I zgon sierociński...
I to wszystko mnie boli!... Ja - sam siebie tak bolę!” -
Wołał w bezmiar i ku Bogu pan Błyszczczyński.

Ale Boga już nie było... Pustka padła wzdłuż na kwiaty.
Widma drzew szeptały: „Zmiłuj się nad nami!” -
Błogosławiąc snom wszelkim, leciał w dalsze wszechświaty
Powietrzami, wstrząsanymi powietrzami.

Pewno widać było z nieba, że świat mija i przeminie,
I że snom przyświeca - woda na kamieniu...
Pan Błyszczczyński zaszeptał w usta niemej dziewczynie
„Błędny cieniu., marny cieniu, cudny cieniu!

Zabłąkitnij - odbłąkitnij... I mów wszystko i nie domów!...
Czy tu jest ów wszechświat, gdzieś zgubiła siebie?
Może ci się należy wpośród innych ogromów
Inna zieleń - inna nicość - w innym niebie.

Nie zaczęłaś dotąd istnieć w żadnym półśnie, w żadnym grobie,
Dotąd stóp twych śladu nie stwierdziły kwiaty -
Podczas twego niebytu zakochałem się w tobie,
Naraziłem mroczne ciało na zaświaty!

Czy mam z tobą iść w głąb żalu, czy w tę inną głąb doliny,
Nim świat zginie śmiercią, niebem malowaną?...
I jak dążyć do ciebie - do niebyłej dziewczyny -
Ty - mgło moja, usta drogie, złota piano!...

Oto resztki mych przeznaczeń: noc niedobra i dzień sępny -
Oto - popłoch czarów, gdy je miłość zrani!
Od nicości do ust twych - ledwo jeden krok wstępny,
Od otchłani poprzez dreszcze - do otchłani!

Śni się liściom - nieskończoność. śni się wiosłom - dno i łódka.
Odrącone zorze raz na zawsze bledną...
Czy śmierć w nic nas rozśmiej, czy nas z nowych łez utka -
Wszystko jedno, tchu ostatni, wszystko jedno!

Noc zabije nas nie mieczem, lecz jaśminem i konwalia -
I zaciszem mogił - i oddechem sadu!
Prędzej pochwyć treść nocy i ucałuj i spal ją,
Żeby po niej nie zostało ani śladu!

Wszystkim widmom chce się zginąć takim nagłym wielozgonem,
Żeby brak ich we śnie - był dla jawy ulgą.
A mój upiór śpi w jarze - na wybrzeżu zielonem,
Gdy go znajdziesz, pusty cieniu - zbudź i tul go!

Tam - wysoko i najwyżej - między niebem a nadrzewiem
Włóczy się srebrnawo - cisza i znikomość.
Tak o tobie nic nie wiem, tak cudownie nic nie wiem,
Że miłością jest ta moja - niewiadość!"

Umilkł nagle pan Błyszczynski i popatrzył w dal niecałą,
Światel i przeznaczeń było coraz więcej.

A on kochał ją w usta, kochał w stopy, w pierś białą -
I minęło różnych czasów sto tysięcy!

Ramionami ją ogarniał, a ustami doogarniał,
Oczom z gwiazd przyrzucał patrzącego złota,
Lecz cień w jego objęciach wciąż samotniał i marniał
I nie wiedział, że to - miłość i pieszczota.

Noc z roziskrzeń, wróżb i mgławic promienisty spłotła batog,
Żeby nim biczować nie dość chętne groby,
A w księżycu się jarzył wykres cieśnin i zatok,
Gdzie nic nie ma, prócz oddali i żaloby.

Mrok zaskomlał w pustym dębie, zagwizdała nicość w klonie,
I rozbłysła w księżyc - śmierć i pajęczyna...
Pan Błyszczynski zrozumiał i załamał swe dłonie
I pomyślał: „W nic rozwieje się dziewczyna!” -

W nic rozwiała się dziewczyna i jej czar, poczęty w niebie,
I pierś, zakończona różową soczystką.
I rozpadło się ciało na żal straszny do siebie
I niewiedzę o tym żalu !... I to - wszystko...

Nie umarła, lecz umarło jej odbicie w jezior wodzie.
Już się kończył zaświat... Ustał cud dziewczynski...
O, wieczności, wieczności, i ty byłaś w ogrodzie!
I był blady, bardzo blady pan Błyszczynski.

Z TOMU *DZIEJBA LEŚNA* [1938]

[Jam - nie Osjan! W zmyślonej postaci ukryciu]

Jam - nie Osjan! W zmyślonej postaci ukryciu
Bezpiecznie śpiewam moją ze światem niezgodę!
Tarczą złudy obronny - zyskałem swobodę,
Którą on by zapragnął, gdyby tkwił w tym życiu.

Za niego dźwigam brzemień należnej mi sławy
I za niego o przyszłość mych pieśni się trwożę -
Żyję tak, jakbym tego życia był ciekawy -
Ginę, jak on by ginął, choć zginąć nie może!

Ten go uczci, co będzie na moim pogrzebie,
Gdy moja mgła się z niego spokrewni tumanem.
Nikt się nigdy nie dowie, czym byłem dla siebie -
Dla innych chciałbym zawsze być tylko Osjanem.

Tak rzekł śpiewak, lecz własnym smutkom nie podołał,
I nagle: Boże, Boże! - do Boga zawołał.

Jam - nie Bóg! Twarzy mojej spragniony zatrąty,
Maskę Boga przywdziałem - zdradziecko pokrewną,
I za Niego stworzyłem bezrozumne światy,
Tak, jak On by je stworzył... Na pewno! Na pewno!

Za niego w mrok się wdarłem, by trwać w obłąkaniu,
Tak jak On by to czynił, gdyby chciał się wdzierać!
Za Niego mrę na krzyżu, w bolesnym przebraniu
Tak właśnie, jak On marłby, gdyby mógł umierać!

Za Niego, jakby rozpacz gnała Go po niebie,
Płacząc - w próżnię uchodzę, by marnieć - odłogiem!
Nikt się nigdy nie dowie, czym byłem dla siebie!
Dla was, co się modlicie, jestem tylko - Bogiem.

[Skrzeble biegną, skrzeble przez lasy, przez błonie]

Skrzeble biegną, skrzeble przez lasy, przez błonie,
Drapieżne żywczyki, upiorne gryzonie!
Biegną szumnie, tłumnie powikłaną zgrają,
A nie żyją nigdy, tylko umierają -
Umierają, skomląc, szereg za szeregiem.
Śmierć jest dla nich właśnie tym po lasach biegiem,
Śmierć jest dla nich pędem w niepochwytne cienie -
Biegną tylko po to, aby śnić istnienie.
Świat im śni się w biegu - daleki i bliski,
Śnią się własne ślepie, śnią się własne pyski,
Śni się im, że mogą kąsać jadowicie -
Węszą przez sen moje i to twoje życie,
A ten sen łakomy wystarcza im prawie -
Kogo gryzą we śnie, ginie ten na jawie -
Gryzą we śnie boga, co sen stworzyć umiał,
A ów dąb umiera, co dla niego szumiał.

[Jak niewiele ma znaków to ubogie ciało]

Jak niewiele ma znaków to ubogie ciało,
Gdy chce o sobie samym dać znać, co się stało...
Stało się, bo się stało! Już się nie odstanie!
Patrzę ciągle i patrzę, jak gdyby w otchłanie,
I ciągle nasłuchuję, czy kto puka w ciszę?...
Nie dlatego, że widzę, nie przeto, że słyszę.
I usta moje bledną, a to ten ból biały
Nie dlatego, że zmarły, lecz bardzo kochały,
I uśmiech nie dlatego trwa na nich przelotem,
Żeby się uśmiechały... ten uśmiech wie o tem.
A gdy ciebie wspominam - świat mi cały gaśnie,
Bo tak oczom potrzeba - tak chce się im właśnie!
A dłonie załamując, wiem, że nie z rozpaczy,
Lecz nie mogę inaczej - nie mogę inaczej.

[Boże, pełen w niebie chwały]

Boże, pełen w niebie chwały,
A na krzyżu - pomarniały -
Gdzieś się skrywał i gdzieś bywał,
Żem Cię nigdy nie widywał?

Wiem, że w moich klęsk czeluści
Moc mnie Twoja nie opuści!
Czyli razem trwamy dzielnie,
Czy też każdy z nas oddzielnie.

Mów, co czynisz w tej godzinie,
Kiedy dusza moja ginie?
Czy łzę ronisz potajemną,
Czy też giniesz razem ze mną?

* * *

Mrok na schodach. Pustka w domu
Nie pomoże nikt nikomu.
Ślady twoje śnieg zaproszył,
Żal się w śniegu zawieruszył.

Trzeba teraz w śnieg uwierzyć
I tym śniegiem się ośnieżyć -
I ocenić się tym cieniem
I pomilczeć tym milczeniem.

Z ROZMYŚLAŃ O POEZJI

Nietzsche - o ile sobie przypominam - w jednym ze swoich utworów wygłasza taki aforyzm: „Cokolwiek się powie o kobiecie - jest prawdą.” Możemy odmienić i odwrócić to zdanie: „Cokolwiek się powie o poezji, jest błędem.”

Poezja żywcem się wymyka wszelkim określeniom. Określenie jest dla niej smutnym rodzajem trumny szklanej, która - przejrzyściejąc - zabija. Ileż to razy, naukowo rozważając niepochwytną i zmienną istotę poezji, nic innego nie czynimy - jeno uroczyście kołyszemy w próżni trumnę szklaną w tym przekonaniu, że oczom własnym i cudzym wspaniałomyślnie rozwidniamy przyłapaną na gorącym uczynku i odtąd już posłuszną nam tajemnicę poezji! A zauważmy to mimochodem, lecz niezupełnie od niechcienia, że ilekroć poezja przestaje być dla nas tajemnicą, tylekroć my dla niej przestajemy być poetami.

Muzyka i malarstwo rozporządzają dźwiękiem i barwą jako środkami artystycznymi. W dziedzinie sztuki - środek, wyzyskany i spełniony w akcie twórczym, staje się tam w sobie celem. Ów cel w malarstwie - barwi się, a w muzyce - dźwięczy. Dźwięk bowiem i barwa w obrębie swej sztuki mają tylko jedno zadanie do spełnienia, a mianowicie: być sobą - być barwą - być dźwiękiem.

W przeciwieństwie do barwy i do dźwięku - słowo jest skazane na żywot pełen boleśnego i tragicznego rozdwojenia, ma bowiem do spełnienia aż dwa biegunowo próżne zadania! Z jednej strony na twórczych wyżynach - poezji ma być sobą - słowem dla słowa - z drugiej strony na terenie życia bieżącego krąży w mowie potocznej jako utarte, bezbarwne, bezdźwięczne pojęcie.

- Najnowszy badacz języka dzieli go na dwa rodzaje, a mianowicie: na język indywidualny i na język społeczny. My ten pierwszy przeżywamy - słowem wyzwolonym, ten drugi - słowem pojęciowym.

Zdarzają się wszakże takie okresy, kiedy zanika wiara w słowo twórcze. Wówczas owo przed chwilą jeszcze zawadiacko barwne i zuchwale rozpląsano słowo - przerażone własnym zbyt jawnym i zbyt śpiewnym wcieleniem, szuka schronu w bezpiecznej szarzyźnie zdań powszechnie uznanych i co prędzej wdziewa dla niepoznaki słynną od wieków ze swych własności czarnoksięskich czapkę-niewidymkę, aby ukryć w ten zaklęty sposób swój grzeszny kształt i barwę - swój nagi płomień i nagą rosę - swoje ciało chciwe tysiąca istnień i tysiąca nie stłumionych niczym radości - i aby koniec końcem - uśmierzyć swoją niepodległość twórcza - swoją niezależność i samoistność myślową i duchową. Co wówczas pozostaje poetom? Chyba - cierpliwe lub niecierpliwe przetrwanie tego nieprzychylnego dla słowa okresu i doczekanie się raz jeszcze tej nieprzytomnej wiosny, tej słonecznej bezrozumnej burzy, która swoim wonnym, swawolnym powiewie zdmuchnie z posłusznie zmałego, wylękłego i odbarwionego w swym ukryciu słowa wspomnianą wyżej czapkę-niewidymkę, ażeby znowu w całym zakazanym i występny przepychu odsłonić jego kształt rzeczywisty.

Mamy więc przed sobą dwa rodzaje słów: słowa w czapce-niewidymce i słowa bez czapki-niewidymki.

A właśnie bywają takie okresy, kiedy sam poeta onieśmiela się do nowych zagadnień sztuki - kiedy sam twórca płochliwie omija zbyt urwiste otchłanie twórczości, kiedy sam śpiewak, zagłuszony zgiełkiem dookolnym, nie wierzy już w śpiew i w jego samodzielność, odrębną od reszty życia, a dla życia niezbędną wartość. To są okresy, kiedy słowa wdzieją czapule-niewidymkę. Zbyt indywidualne w takich okresach skrzydła wychodzą nagle z mody - stają się rodzajem występnego, a w każdym razie nieprzyzwoitego upiększenia.

W jednym z naszych prowincjonalnych ogrodów zoologicznych widziałem bociany, które chodziły na wolności nie zdradzając żadnej chęci odlotu. Zdawało mi się, że trzyma je w obrębie ogrodu instynktowne i trzeźwe przywiązanie do tego kawałka ziemi, gdzie mają swój dom - pokarm i opiekę - przywiązanie do wygod życia codziennego. Myliłem się jednak... Dozorca mi wytłumaczył, że w celu przykucia ich do miejsca podcina im nożycami owe lotki, których brak, niewidoczny dla oka, uniemożliwia ptakom korzystanie ze skrzydeł. Przypominają sobie chwilami swoją wrodzoną skrzydlatość i z nagłą wiarą w siebie zrywają się do upragnionego i należnego im lotu - ale nadaremnie! Machają tylko na miejscu skrzydłami, lecz już odlecieć nie mogą. Uwięziono je w ogrodzie w sposób tak na pozór skrzydlaty i pełen pozornej swobody, że - trudno zgadnąć od pierwszego wejścia bolesną tajemnicę ich przyziemnego trwania - ich ruchliwego, a jednak więziennego zawieruszenia się w zakętym kole ogrodu zoologicznego.

Albo się jest ptakiem - albo się nim nie jest! Nie ma ptaków połowicznych! Skrzydło niecałkowicie przestaje być skrzydłem. Albo słowo się wyzwala z pęt pojęciowych. albo dobrowolnie wdzieja te pęta. Zjawia się właśnie - szkoła, która twierdzi, że należy pisać nie wyzwolonymi słowami, lecz ideowo skomponowanymi zdaniami tak, aby treść pojęciowa górowała w zdaniu nad nie usamodzielnionym słowem. Słowo chętnie zanika w ideowej całości zdania, pozostawiając pierwszeństwo temu ostatniemu. Tego rodzaju poezja pragnie nas czarować nie magią słów, lecz treścią zdań. Ma nawet pogardę dla magii słów. Uważa ją za przebrzmiały, raz na zawsze zużyty środek artystyczny - niezdatny do chwytania samego życia lub współżycia.

Toteż słowa w wierszach tych poetów zatracają swą rzeczową niezależność, swą uczuciową niepodległość, swą twórczą niespodzianość i nieprzewidzianość. Pozbywają się swych twórczych kaprysów, swych cudów, dziwów i zaklęć - w tym niejako przeświadczeniu, że pochłonięte ogólnymi, ideowo określonymi zdaniami nabiorą powagi.. doniosłości społecznej, staną się zawczasu oczekiwane, spodziewane i - ułatwią sobie drogę do dusz i umysłów szerszej publiczności. Poeta tedy stara się nie tyle wyodrębnić, ile upodobnić do otoczenia. Zamiast dążyć do nowości, którą w sztuce jest tylko - niepowtarzalna indywidualność - dąży do współczesności. Współczesność wszakże dla nikogo nie jest tajemnicą, wymagającą odkrycia. Wiedzą o niej ci, którzy przy kawie czarnej - w zgiełku kawiarnianym - z nieodpartą stanowczością wyrokują o tym, czym powinna być sztuka dnia dzisiejszego. I ci wiedzą o niej, którzy ze zwyczajną brawurą patrzą w głąb naukowo spopularyzowanego wszechświata przez skwapliwie modną, świeżo wynalezioną lornetkę - w tym przekonaniu, że oglądają zblizną w ten sposób i zawczasu już udoskonaloną przyszłość.

Właściwie należałoby zbadać historycznie i psychologicznie to zawile, periodyczne zjawisko, jakim jest tak zwana współczesność w sztuce i w literaturze. Z czego jest utkana - z jakich treści i gestów? Może tylko - z gestów? Może by się okazało, że ton i postawa tej współczesności są zawsze te same bez względu na czas, w którym panują?

Może by się udało faktycznie stwierdzić taki nawet paradoks, że współczesność panująca sto lat temu miała zasadniczo tę samą treść i chodziła w tej samej młodzącej się ku ludzkości masce, którą się chlubi jako nowością współczesność bieżąca... Trudno powiedzieć bez uprzednich badań porównawczych, kiedy zjawiała się na świecie pierwsza świadoma siebie współczesność. Czy ton i postawa następnych współczesności - nie wyłączając dzisiejszej - były i są dość żywotne i głębokie, aby wnieść coś twórczego, coś choćby częściowo nowego i uczuciowo trwałego do poezji i sztuki? Czy w ogóle współczesność wystarcza jako pobudka i źródło? Czy nie jest ona już czymś minionym przed chwilą albo czymś, co właśnie teraz przemija? Może jest podobna do kobiety, która ukrywa swoje lata? A może, spragniona łatwego powodzenia na drogach najmniejszego oporu - jest tylko chwilową i byle jaką namiastką indywidualnie twórczej nowości. tymczasową i ratunkową formą przetrwania niezycziwego i szkodliwego dla poezji okresu, kiedy trzeba wiele przebaczyć, wiele zapomnieć i jeszcze więcej przecierpieć?...

W takich zapewne bolesnych dla jednostki okresach współczesność, jako znak przynależności do przewag i przywilejów dnia ostatniego, budzi w poetach ospałą już nieco wiarę w siebie samych, w swoje wartościowe przodowanie światu - dodaje niezbędnej otuchy i odwagi - podnosi znaczenie twórcy użytecznością najmodniejszego tworzywa, słowem: spełnia cudownie rolę najnowszym na pozór życiem świeżo poobarwionej maski, pod którą się ukrywa nieco już wczorajszy, wstydliwie i niepochwytne wczorajszy wyraz spragnionych spojrzenia w przyszłość oczu, które już tej przyszłości niedowidzą. Ta maska broni nas jednak przed niebezpieczeństwem utraty wszelkiej postawy względem świata. Uwspółcześnia nasz wygląd, pozwalając w ukryciu zachować na dzień jutrzejszy choćby odrobinę własnej nieustępliwej duchowości. Niewiara w jednostkę - w jej wyłączość, w jej wartość, a natomiast wiara w zbiorowość - w zjawiska częstotliwe, szare, powtarzalne musi koniec końcem stłumić, zmusić do milczenia niezależne i swobodne władze duszy ludzkiej i powołać w zamian do twórczości jakieś inne - dotąd wzgardzone - unikające swobody i niezależności - chętnie ginące w zbiorowej szarzyźnie lub w zbiorowym zgiełku władze tej właśnie duszy. Otóż te władze, które dotychczas były nieomylną oznaką braku wszelkiego talentu, stają się „talentem” nowych poetów - ich cechą chwalebna - ich „prawem do talentu”.

Odtąd bowiem należy mieć przede wszystkim wspomniane wyżej prawo do talentu, a potem dopiero - talent. Tego ostatniego można nie mieć wcale. Typy ludzkie, które dotychczas milczały, zaczynają przemawiać - pisać wiersze, powieści - dyktować nowe poglądy na sztukę. Wśród tych właśnie - pomijanych dotychczas ludzi - panuje ożywienie radosne, zapał nagły, wiara w jutro. Tak bywa zawsze. Tak być powinno. Inaczej być nie może. Idzie tylko o to, jakie typy ludzkie w danej chwili mają przodować - tworzyć sztukę i poezję. Czy te - czy tamte? Czy indywidualne, czy pozbawione indywidualności?

W jednym z pism czytałem niedawno artykuł, w którym autor, nie chcąc zbyt gwałtowną trucizną przerwać jednostce zbyt twórczego istnienia, wspaniałomyślnie i humanitarnie zastanawia się nad łagodniejszymi sposobami bezbolesnej depersonifikacji literatury, nad jej zwycięskim odindywidualizowaniem. Nowe to zgoła rzemiosło, nowy na Olimpie Urząd Depersonifikatora literatury. Do niego chyba zwraca się w jednej ze swych książek Bolsche z następującymi słowami: „Znasz wszak to miłe stworzenie, zwane w nauce przyrodniczej Królem-Szczurem? W jakiejś belce spróchniałej lub w dziurze starego spichrza, gdzie się roi od szczurów, słyhać czasami wstrętny chrzęst i pisk przewyższający zwykły hałas szczurzy. Wreszcie cierpliwość się wy-

czerpuje. Bierze się siekierę i rąbie się belkę spróchniałą. Wtedy wyskakuje potwór, który się utworzył w ciasnym, brudnym gnieździe szczurzym przez okropne wyniszczenie lub chorobę. Oto około dwudziestu, a czasem i więcej szczurów skłębiło się wzajem i zlepilo długimi ogonami tak, że żaden z nich nie może się oderwać i muszą tak żyć wspólnie mocą przymusu, tworząc taką Syjamską Dwudziestkę! Oto jest ów sławny Król-Szczur!”

W tym chorobliwym skłębieniu szczurów nastąpiła absolutna depersonifikacja osoby szczura. Ta Syjamska Dwudziestka, ten powikłany ogonami potwór jest idealnym symbolem wszelkiej w ogóle depersonifikacji, tym bardziej że - jak powiada w dalszym ciągu Bolsche - ogony tak się pono zrastają, iż przez nie odbywa się obieg krwi od jednego szczura do drugiego. Mało nas jednak obchodzi depersonifikacja szczura. Nikt na tym nic nie traci. Ale zastanówmy się głębiej nad tym, co by zyskała Anglia na depersonifikacji Szekspira, a Niemcy na depersonifikacji Goethego, wreszcie Włochy na depersonifikacji Danta! Czy istnieje na świecie taka genialna Dwudziestka Syjamska, która by mogła zastąpić jednostkę w rodzaju Danta lub Szekspira? Czy ta Syjamska Dwudziestka w porównaniu z jednostką posiada dwudziestokrotną siłę twórczą? Jakim szczurem, zachłannym szczurem, był autor artykułu, głoszącego godną bezimiennego rozgłosu depersonifikację literatury!

A zresztą ów autor ma swoją bieżącą słusność. Tylko Król-Szczur jest tworem naprawdę współczesnym, rozumiejącym i odczuwającym dzisiejszą, pełną nowych cudów - rzeczywistość literacką. Tylko Król-Szczur jest najnowszym, najmodniejszym, najznakomitszym, najpopularniejszym poetą. W słowach potakujących pojęciowym nawykowi umysłów przeciętnych opiewa nie typowe bóle i radości psychologiczne uchwyconego człowieka szarego, lecz jego poglądy na życie i na sztukę samą. A godna jest podziwu wścibskość i wszędobylskość Króla-Szczura! Jest on uwielbianym Dyrektorem Wytwórni nowych kierunków literackich, dożywotnim Prezesem wszystkich sądów konkursowych, słynnym Redaktorem wszelkich wydawnictw, głównym Nabywcą odznaczonych przezeń książek, nieomylnym Rozdawcą sławy i rozgłosu. Pod swymi utworami podpisuje się zespołowo, w liczbie mnogiej: My - przewyżając w ten prosty a nieodparty sposób niemoc i szczupłość osobowej jaźni ludzkiej i zaznaczając nową radosną erę twórczości zbiorowej. Jest w tym wielmożność i przewaga Jego Syjamskiej Mości nad zasklepioną w sobie jednostką.

Zdaje nam się, że nie ma chyba zgubniejszych i boleśniejszych dla życia wysiłków, jak zawsze mylne i szkodliwe stosowanie metod jednej dziedziny twórczej do drugiej - nieraz wprost przeciwnej. Na przykład stosowanie zasad mechaniki lub astronomii do malarstwa lub muzyki. Twórczość zbiorowa jest zasadą życia zbiorowego. Trudno jednak tę zasadę stosować do twórczości literackiej. Czyni i to właśnie Król-Szczur w imię tkwiącej w jego duszy i ciele Dwudziestki Syjamskiej. Łatwo mu omamić i obłąkać młodych poetów. Łatwo ich oczarować potęgą i wyłącznością nowo narodzonej ideologii, która dzisiaj jest nie tylko kierunkiem myślowym lub metafizycznym, lecz posiadając niebywałą i niesłychaną dotychczas łatwość wcielenia, przeobraza się z błyskawiczną niemal szybkością w widomą, realną instytucję społeczną. Wartość idei mierzymy dzisiaj - zdolnością tego właśnie wcielenia się w życie zbiorowym. W tym widzialnym wcieleniu, w tej żywej realizacji, w tym piętrzącym się ku nieznanym jutrom budownictwie idei tai się jakaś nowa, nie dość jeszcze zbadana epoka współżycia. Może z jej dna, z jej zawilego chaosu wyłoni się kiedyś nowa sztuka, ale nic Król-Szczur odsłoni jej tajemnice, nie on będzie jej odkrywca!

Poeci zawsze uważnie i domyślnie są wpatrzeni w dzień ostatni i w ten następny, który ma nadejść dopiero. Zawsze są gotowi do przyjęcia nie tylko nowej radości, lecz i nowego smutku, byle był nowy - byle był inny niż ten, który działał się wczoraj, a który dzisiaj już się dziać nie chce i nie może.

Poeci nigdy nie szczędzą żadnych ofiar, byle tylko rozstać się ze starym, przebrzmiałym wierszem, z przestarzałą treścią i formą i uzyskać wiersz nowy - wiersz, który budzi zamarałą już uwagę słuchacza i roznieca na nowo zapał twórczy w samym autorze. Poeci zawsze wróżą - zawsze wyprzedzają swój wiek i swoje otoczenie - i zawsze, mówiąc słowami jednego z nich, jak żuraw z szyją w przyszłość wyciągniętą lecą ku nie zwiedzonym światom, gdzie na nich czekają śpiewne zdobycze słów wiecznie młodych i tajemnic wiecznie niecierpliwych. Z tych słów, z tych tajemnic pragną utkać wiersz laki właśnie, żeby potrafił pochłonać nowe znoje i nowe radości dnia ostatniego. A choćby ów dzień ostatni - bezserdeczny i niewyrozumiały - żądał od nich ofiary z poezji czystej i prawdziwej, uczynią i taką ofiarę, byleby zniewolić słowo do nowych prób i nowego brzmienia.

Wiersz dzisiejszy różni się od dawnego i rodzajom budowy, i rodzajem rymów. Wiersz dawny - swoją sylabiczną, a czasami i toniczną śpiewnością, ujętą w muzycznie uzasadnione strofy i wygradzoną od reszty nieśpiewnej rzeczywistości rymami, zasadniczo wyodrębniał się od tej rzeczywistości i nie dopuszczał w samym pomysle do swego - tak czarownic obronnego - wnętrza codziennej pojęciowości, bieżącej szarzyzny znaków porozumiewawczych. Brak nam miejsca i czasu, aby tu przytaczać wyniki badań najnowszych nad fizycznymi źródłami i podstawami rytmu. Zaznaczymy tu tylko mimochodem, że wszelkiemu procesowi istnienia towarzyszy ruch rytmiczny. Łatwo to sprawdzić na obiegu krwi, na biciu serca, na ruchach gwiazd i planet. Nawet w wykonaniu zwykłej pracy koniecznej do dźwigania ciężarów, do przesuwania ich z miejsca na miejsce - pomagamy sobie nieświadomie i mimo woli piosenką solową lub chóralną, która nam ułatwia wprawienie ciała lub kilku ciał w ruch rytmiczny, aby go uzgodnić i przelać na martwy ciężar.

Praca twórcza jest tak samo i przede wszystkim pracą rytmiczną. Ujawnia ona swój rytm w utworach, z tego właśnie rytmu bezpośrednio powstałych. Piękno tych utworów między innymi polega i na tym, że swą budową stwierdzają śpiewne źródło swych narodzin - że przejrzycieją całkowicie niematerialną istotą rytmu, który był ich pobudką twórczą i który towarzyszył ich wcieleniu. Słowa idą w ślad za rytmem przewodnim jak za nicią Ariadny. Najpierw rytm, a potem słowa. Idą w ślad za tym śpiewnym nawoływaniem, które je wabi i pociąga, i zmusza do ułożenia się tak właśnie, ażeby się stały niespodzianką, objawieniem - czymś żywotniejszym od samego życia. Upojone rytmem tańczą na znak swego radosnego wyzwolenia z pęt szarzyzny i pojęciowości - na znak cudownego powrotu do pierwotnego źródła barw, kształtów, szumów i szelestów. Te rozpląsane, rozśpiewane, wolne i nikomu nieposłuszne słowa zrywają wszelką łącznicę ze słowami mowy codziennej i porywają do tańca te tylko myśli i uczucia, te tylko sny i zjawy, które zaczynają istnieć i być sobą dopiero w tym wyzwoleniu - w tym objawieniu słownym - w tym triumfującym górowaniu nad beztwórczą i martwą, chociaż ruchliwą i zgiełkliwą codziennością.

Ale zdarzają się i takie lata - mitrężne, bezskutecznie smutne i o lepsze jutro nadaremnie rozmodlone lata, kiedy - ów taniec, ów pląs zbuntowany przeciwko prozie życia - nagle traci wiarę w swą pijaną i opętaną rację bytu i potyka się o własne zwątpienie, i rozchwiewa się, i ustaje. Stary taniec wychodzi z mody, a nowego nikt jeszcze nie

wymyślił. Poeci zresztą nie chcą, nie śmieją już tańczyć. Wstydzą się tańca. Poszukują nowego opętania - opętania trzeźwością, rozsądkiem, twardą logiką codziennej walki o byt... Jest to opętanie bezspiewne, beztaneczne... Trawi ich nagła, zapalczywie powszechna niewiara w twórczą wartość jednostki - w jej wyłączne prawo do rytmicznie pogłębionej komunii ze wszechświatem. Dawniej tracili rozum dla wyżyn. Dzisiaj tracą dla nizin. Dawniej pragnęli czarów i uroków. Dzisiaj pożądają przeciwczarów i przeciwuroków.

Aby tym trzeźwym prądom dać dostęp do zamkniętego w sobie wiersza - poeta rozluźnia ten wiersz, łamie rytm aż do stopnia zupełnej bezspiewności, tłumi płas rozzu-chwalonego, usamodzielnionego słowa. Czyni wszystko, aby wiersz uprozaiczyć. Odrzuca dawny wiersz wolny jako zbyt jeszcze płasający. Usuwa go w przeszłość, przezywając wierszem zwolnionym, aby swemu wierszowi przyswoić uznane miano wiersza wolnego, a więc jeszcze wiersza... Jest to już jednak - proza, jeno graficznie upodobniona do wiersza. Poprzez szpary i szczeliny rozluźnionego, a właściwie wytę-pionego rytmu wsącza się bez przeszkody treść ideowa, tendencyjna. Nawet rymy w takim wierszu są niezupełne - oddalone i tak nieśpiewne, że nie stanowią żadnej tarczy przed napastliwą zewsząd prozą. Mogłyby wpłynąć dobroczynnie, gdyby powstały w tym celu, ażeby umożliwić zjawianie się na końcówkach wierszy tym słowom, które się tam dotychczas - trafiając na nieustanny opór usłużnej gotowizny stałych rymów - zjawić nie mogły. Toteż zdaniem jednego z dawnych poetów, całą swoją wynalazczość twórca rozwija w obrębie tych pierwszych słów w wierszu, słów nierymowa-nych.

Pomijając wszakże podrzędną sprawę rymów, powracamy do niezmiernie ważnej sprawy rytmu. Słowa wykolejone z rytmu stają się tak bezoporne i bezbronne, że, istnieje nawet pewien kierunek teoretyczny, który doradza pilnej metaforyzacji każdego niemal słowa, aby je uchronić przed natarczywością wszędobylskiej prozy.

Z rytmem związane są rozmaite możliwości twórcze wiersza. Rytm pozwala groma-dzić w wierszu coś, co się rozwija i upływa w słowach i poza słowami, coś, co albo zastępuje istotę czasu, albo jest samym czasem. To coś upływa na kształt powtarzalnej melodii, którą można raz jeszcze od początku do końca zaśpiewać z tym przeświadczeniem, że znów tak samo jak dawniej zacznie istnieć i trwać - i tak samo jak dawniej skona, zachowując za każdym zgonem tę samą rytmiczną zdolność zmartwychwsta-nia. Poznajemy wiersz nie tylko po jego słowach i treści, ale i po tej właśnie poza słowami i poza treścią ustalonej w naszej pamięci bezsłownej melodii. Przekład wiersza wówczas dopiero jest doskonałym przekładem, jeżeli słuchacz, nie znający języka przekładu, poznaje oryginał po tej właśnie bezsłownej melodii, na którą się składa i rytm, i stopa metryczna, i następcość dźwiękowa wyrazów, i ich powtarzalność, i wiązanie się w zdania, i spadki tych zdań, i sama intonacja, czyli wszystko, co jest wierszem prócz wiersza widomego i namacalnego.

Ta właśnie melodia, to niepochwytne strumienienie się wyrazów jest odwzorem czasu uciulanego w danym wierszu, a niezbędnego dla rozwoju samego wiersza, samej treści, która w tym czasie w umyśle poety się naradza. Twórczość jest właściwie notowaniem tego rozwoju. Gdyby kwiat potrafił w słowach trafnych i odpowiednich na byle jakim liściu notować swój rozwój rytmicznie stopniowy od chwili, kiedy zapra-gnął być kwiatem, aż do chwili, kiedy się nim stał - ta jego drobna na pozór notatka byłaby cudownym utworem poetyckim. Wiersz - to właśnie owa odrobina rozwoju serdecznego, która się w danej chwili z przyczyn mało wiadomych, ale już niepowta-

rzalnych - zdarzyła. W godzinach bowiem twórczych przybywa zawsze jakaś treść nowa - coś, o czym poeta przed chwilą jeszcze nie wiedział albo wiedział niezupełnie - zgadywał zaledwo - przeczuwał we śnie, tak że przed chwilą jeszcze nie mógł tego właśnie wiersza napisać. A teraz pisze, bo już wie - albo pisze w tym właśnie celu, żeby się w tej chwili o całym świecie i o sobie, i o swoim wierszu czego nowego, nieznanego dowiedzieć. I dowiaduje się czegoś nieraz bardzo małego i niepochwytanego. Czegoś, co jest i na zawsze pozostanie tylko - napomknieniem. A jednak to napomknienie przyczynia się do narodzin wiersza, wzbogaca jego treść, góruje nad słowami, usprawiedliwia powstawanie słów nowych, staje się jedynym powodem, dla którego wiersz na świat przychodzi - przyjść chce i musi.

Rytm spełnia jeszcze jedno tradycyjne i historycznie szlachetne zadanie, a mianowicie: ułatwia wierszom wrodzoną im zdolność utrwalania się w pamięci ludzkiej. Nie w książce, lecz w pamięci ludzkiej wiersz lubi przebywać. Można by w tym właśnie miejscu wymienić cały szereg wysiłków i pomysłów zasługujących na specjalną nazwę - arcyzmu mnemonicznego. Poeta sam siebie nie podejrzewa nawet o te - najczęściej nieświadome - zaklęcia i czynności magiczne, z których pomocą stara się przedostać do pamięci ludzkiej! Cytowanie wiersza z pamięci jest najcenniejszym dowodem zachwyty i uznania, a jednocześnie najprostszym warunkiem oceny jego wszystkich osiągnięć i wynalazków.

Zresztą - według zamierchłej i dostojnej tradycji - wiersz powinien przemawiać nie tylko do serca i umysłu, lecz i do pamięci. Śpiewak powierzał swe pieśni pamięci rapsodów i żonglerów, toteż poeta, którego przeszłością jest przeszłość wszystkich światów i zaświatów i który zawsze jest wpatrzony w czasy pierwotne - powinien tworzyć swe wiersze tak, jakby nie było druku. A właśnie wiersz dzisiejszy, wiersz uprościaczony - niechętny rytmom, liczący przede wszystkim na swój pozór graficzny, jest wierszem - że tak powiemy - pomyślanym w druku i w druku urodzonym, wierszem, który nie przemawia do pamięci i niełatwo do niej przenika. Na ruinie rytmu trudno poezji ołtarz budować. Wiersze - śmiertelnym piętnem prozy zabójczo znakowane - wałęsają się po świecie jak upiory z tym w karku utkwionym sztyletem, którym je niegdyś zamordowano.

Nadmieniamy tutaj mimochodem, że o ile cios wymierzony w stopę metryczną rosyjskiego wiersza tonicznego jest dla niego reformą, o tyle nie jest żadną odmianą wynalazczą dla swobodnego pod względem metrycznym wiersza sylabicznego. Wiersz sylabiczny czeka dopiero na swego reformatora.

Rytm nadaje słowom samodzielną wybujałość, skrzydlatą odwagę trwania ponad treścią. Czytelnik, który chce pochwalić powieść, mówi zazwyczaj: „Cudowna! Wspaniała! Zapomniałem, że czytam, że mam książkę w ręku!” Wszakże dość dziwnie brzmiałoby w ustach czytelnika zdanie - „Czytałem wiersz tak piękny, żem - czytając - zapomniał, że to wiersz!”

Pojęciowy język prozy powinien być artystycznie znikliwy, aby dawać pierwszeństwo treści w nim zawartej. Przeciwnie - słowa wiersza powinny być nieustannie wyczuwalne. Wiersz jest nie tylko myślą - obrazem - treścią. Jest on ponadto jeszcze samodzielnym tworem słownym, który się z magii słów narodził i tę magię nadal uprawia. Twórczość językowa jest nierozdzielnie związana z twórczością poetycką. Jest ona doniosłym zjawiskiem nie tylko literackim, lecz biologicznym. Jest triumfem człowieka nad sobą samym, jest przedłużeniem jego istoty w światy pozazwierzęce. Niektórzy z filozofów nowych uważają to właśnie zjawisko - ten cudotwórczy proces - za naj-

żywotniejsze źródło narodowości, za nieomylny znak jej rozwoju i rozkwitu. Język jest nieustannie żywym i olbrzymiejącym skarbem, w którym literatura narodu przechowuje każdy nowy nabytek intelektualny, każde nowo uzyskane uczucie, każde nagle pochwyczone pojęcie. Przypomnijmy sobie raz jeszcze ów historycznie stwierdzony fakt, że w okresie niewoli słowo naszych poetów stało się zwycięskim spoidłem narodu, jego bytem wewnętrznym i niepokonanym talizmanem, chroniącym od niebezpieczeństw dookolnych - niematerialną podstawą jego nieśmiertelności.

Poeci przychodzą na świat z wrodzoną wiedzą swego nowego - dotąd nie znanego jeszcze wiersza. Z taką właśnie wiedzą przyszli na świat najmłodszy nasi poeci. Może ten wiersz wiedząc o sobie to, czego my o nim nie wiemy, pragnie się narazić na wszelkie możliwości - na wszelkie niebezpieczeństwa twórcze, aby w ten sposób trafić na ścieżki przez innych dotychczas przeoczone? A może chce się zapobiegliwie zdeformować w tym zuchwałym celu, żeby w każdej chwili być gotowym do przyjęcia nowej, niespodzianej formy? A może tak jest zajęty rzetelnym sprawdzaniem siebie i swoich przeznaczeń, że zwleka tymczasem z ostatecznym wybuchem twórczym? Trudno zgadnąć, ile baśniowych i cudacznych, ile tragicznych i zachłannych trosk i wysiłków tai się na dnie każdego wiersza! Trudno się domyślić, jakimi środkami - jakimi napomknieniami i zaklęciami wiersz zły lub dobry potrafi przyswoić sobie terażniejszość - zaskarbić przyszłość - przewidzieć własne swoje jutro i swoje pojutrze, ażeby wreszcie zbudować odpowiedni swego twórcy instrument, na którym odtąd grać będzie.

W dramacie Norwidowskim, pt. *Za kulisami*, Arlekin udając, iż trzyma w ręku nie istniejącą gitarę, wtóruje sobie na niej mimicznie i przy tym mimicznym wtórze śpiewa piosenkę o kotku, który wlaźł na płótek. Pierrot odbiera mu mimiczny instrument, ażeby z komicznie naśladowczym zapalem - w podobny sposób zaśpiewać podobną piosenkę. Podobieństwo instrumentów mimicznych ułatwia naśladowczą zgodność obydwu piosenek. Ten sam mimizm duchowo-wewnętrzny staje się rytmiczną pobudką do stworzenia pokrewnych sobie wierszy. Każdy poeta gra na jakimś instrumencie mimicznym. Tym instrumentem, który częstokroć symbolizuje szkołę literacką - bywa lutnia, lira, flet, cytra, ligawka, fujarka.

Symbol jest konkretem dopóty, dopóki daje wyniki konkretne.

Pod wpływem tego symbolu poeta mimo woli lub świadomie przybiera pewną postawę mimiczną. Inne wyniki twórcze łączą się z postawą klasyczną, pseudoklasyczną, a inne z postawą romantyczną, symboliczną, naturalistyczną, realistyczną itd. Każdy aktor głęboko odczuwa i rozumie doniosłe znaczenie mimizmu dla sztuki scenicznej. Każdy aktor wie, że odruchem ciała i wyrazem twarzy musi poprzedzić pochwycenie tonu danej roli. Inaczej przemawia człowiek, który siedzi w fotelu staroświeckim, a inaczej człowiek, który stojąc przed tłumem ręce na piersi skrzyżował. W życiu codziennym wydaje nam się, że najpierw odczuwamy lęk, a potem dopiero bicie serca. Badania psychologiczne wykazują nieodparcie, że najpierw bicie serca, a potem - jako wynik jego - uczucie lęku nadbiega. Wszelkiemu uczuciu towarzyszy ukryta w nas postawa mimiczna.

Wielki poeta ma własną postawę - własny instrument mimiczny. Ale się zdarza czasami, że niewidzialna lub widzialna dłoń despotycznej rzeczywistości podaje poetom nie dość śpiewny i nie dość bogaty instrument mimiczny, zmuszając ich do przybrania tego, a nie innego wyrazu twarzy - tej, a nie innej powszechnie uchwalonej maski, która się staje z wolna ich dozgonnym obliczem. W takich razach poeta albo ulega bez

walki, albo ulegając narzeka, jak narzekał Asnyk na swoje pozytywistyczne pokolenie. „Taki poeta - jaka jest publiczność” - mówi z goryczą W jednym ze swoich utworów. Pomimo wszakże tej przelotnej goryczy posłusznie bierze do rąk ów instrument mimiczny, który mu podaje ówczesna publiczność.

Jakiż instrument mimiczny podaje nasza epoka młodym poetom? Czy są wśród nich tacy, którzy grają na własnym instrumencie - grają uporczywie wbrew całemu światu? A może nadeszły czasy, kiedy dusza poety chce się mimicznie upodobnić do człowieka szarego, ażeby uzyskać samopoczucie zbiorowe i mówić o sobie w liczbie mnogiej? Lub raczej poeta dzisiejszy próbuje dopiero jakichś nowych instrumentów mimicznych i na żadnym grać dłużej nie chce?... Odrzuca kolejno wszystkie i dumny jest Z tego właśnie, że odrzuca i żyje samym tylko śpiewnym lub półśpiewnym wyczekiwaniem?

Przypominamy zdanie wygłoszone na początku naszego szkicu: „Cokolwiek się powie o poezji - jest błędem.” Chętnie się spowiadamy z poczucia tego błędu i wyznajemy, że nie potrafimy odsłonić tajemnicy tego dna, gdzie się odbywa cud powstawania nowej sztuki. Wiemy tylko, że cały szereg młodych talentów pracuje nad wydobyciem z dookólnego mroku - tych światła, bez których życie staje się brzemieniem nie do zniesienia.

(„Rocznik PAL”, 1937-1938, Warszawa 1939)

na podstawie: Bolesław Leśmian, Szkice literackie. Opracował i wstępem poprzedził J. Trznadel, Warszawa 1959, s. 76-91